PAMIĘTNIK LITERACKI

VIII

FRYBURG – SZWAJCARIA
1947

Wydawnictwa

Bratniej Pomocy Polskiego Ośrodka Uniwersyteckiego we Fryburgu

Pamiętnik Literacki
tomy I—VI (1941—1945) wyczerpane

A travers les chansons de Pologne
Fryburg 1944, wyczerpane

Im polnischen Liedergarten
Fryburg 1945, cena frs. **3,00**
Zbiór polskich pieśni ludowych i żołnierskich w tłumaczeniu na język francuski i niemiecki z dodatkowym tekstem w języku polskim.

Pamiętnik Literacki
tom VII, str. 120, Styczeń-Marzec 1946. (na pap. luks.) cena frs. **5,00**
(na pap. zwycz.) cena frs. **3,00**

Dr Janusz Rakowski
Wczoraj i dziś reformy rolnej w Polsce
Fryburg 1946, str. 23, cena frs. **0,60**

Tom VII Pamiętnika Literackiego zawierał:

Aleksander Korczyński — Drogowskazy.
Jerzy Brzozowski — W listopad siódmy, Z Xięgi Apokalipsy, Kolęda Królowej Korony Polskiej.
Konstanty Regamey — St. I. Witkiewicz.
Janusz Kucharski — „Chrystos woskres", Rozmowa z przyjacielem, Więzienny erotyk, Nasza kolęda, Wędrówka, Kuszenie, Więzienne godziny.
Charles Journet — Warszawa czyli trzecia wojna światowa.
K. I. Gałczyński — Pieśń o fladze.
Jerzy Gajewski — Testament 1945.
Władysław Łuczak — Wigilia, Gwiazdy betleemskie, Śnieg, Nowy Rok.
Zygmunt Rawita Gawroński — Izolacja jako motyw konstrukcyjny.
Zygmunt Nowakowski — Jeśli wlazłeś między wrony.
Janusz Rakowski — Wczoraj i dziś reformy rolnej w Polsce.
Michał Trostiansky — Oświata publiczna w Z. S. S. R.
Bronisław Miazgowski — Śmierć Karlika.
Leon Chrzanowski — Panna Antonina.
Notatnik bibliograficzny.

Pamiętnik Literacki

Wydano staraniem

ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH ZAGRANICĄ

Ogłoszenie artykułu w «Pamiętniku Literackim» nie oznacza, że Redakcja podziela poglądy jego autora. Wszystkie prace zamieszczone w «Pamiętniku» są wyrazem zapatrywań osobistych ich autorów. Redakcja uważa za wskazane dać możność swobodnej wymiany poglądów, stawiając jedynie wymogi odnośnie poziomu intelektualnego samych wypowiedzi i ich zgodności z uczciwą troską o dobro Narodu Polskiego.

Wydawca

DR ERNST EIGENMANN, Fribourg 2 (Suisse), Case postale 14
Compte de chèques postaux: Berne III 18825
Compte en Banque: Caisse d'Epargne et de Prêt, Bundesplatz 4, Berne

Redakcja i Administracja

FRIBOURG 2 (Suisse), Case postale 14

PAMIĘTNIK LITERACKI

VIII

FRYBURG — SZWAJCARIA

1947

SPIS RZECZY:

Polska – ofiara imperializmów

Poniżej podajemy przekład rozdziału o Polsce z artykułu pt. „Ponad imperializmy", który ukazał się w nr. 2 kwartalnika *Nova et Vetera*. Red.

Równowaga sił imperialistycznych — to nie dla tego ideału biła się Warszawa jesienią 1944 roku.

Przywódcy Polski Podziemnej, którzy porwali swym heroizmem zwarte szeregi, liczące ponad milion ludzi, zrozumieli szybko, że los ich był już przesądzony i że, jeśli nawet zdołali uniknąć ciosów nazistowskich, to jednak — podobnie jak ich towarzysze z Wilna i z Lublina — nie przetrwają zwycięstwa „wojsk oswobodzicielskich"!

Ale cóż znaczyła dla nich śmierć, byleby tylko dzięki ich duchowi poświęcenia, dzięki ich masowemu wejściu z czołem podniesionym w ogień, odżyć mogła w bliskim już momencie wielkiego pokoju — w który ani na chwilę nie wątpili — era pierwszeństwa prawa, era, w której wolność i niepodległość byłyby przywrócone nie tylko Polsce, lecz również wszystkim narodom Europy środkowej, wszystkim narodom świata!

Nie trudno było przepowiedzieć, jakich sposobów użyje się aby zakuć Polskę w kajdany. Sprawy zaszły już dziś za daleko, aby można było jeszcze mówić o kontrolowaniu wyborów polskich przez aliantów anglosaskich.

Polsce polskiej, tej Polsce, która umrzeć nie chce i która nie prędko jeszcze umrze, nie pozostaje nic więcej, jak tylko dokonać wyboru: — albo ratować swą duszę, kierując ją na drogę wygnania na podobieństwo Narodu Izraela — albo, stawiając wszystko na jedną kartę, zamknąć ją w grobowcu Ojczyzny, aby później — gdy czas po temu właściwy nadejdzie — podważyć wieko.

Charles Journet

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Cieniom Romana Boskiego

Humanisty, literata, poety i — pewno — jednego z ostatnich Epigonów Warszawy początku XX w. zmarłego w czerwcu 1946 r.

1

Nazwisko
z dziecięcych lat zapamiętane;
coś — oswojone, dobrze znane...
Mój Boże, — starej karabeli
nad łóżkiem Dziada pomnę blask,
wakacje w Bobrownikach, Lipie,
jabłek w pokojach zapach, — trzask
żwiru przed gankiem. Umiał skrzypieć —
smutnie, gdy jechać się nie chciało,
radośnie, gdy przed miły dom
nieraz po latach się wracało.

2

Tak. Dom i żwir. Skrzypiący żwir.
To — kiedyś. Dziś — tułacze troski
jak stempel na tysiącach twarzy,
i na tle, niepotrzebnych, zdarzeń,
w baraku jakiś obcy. Boski.

3

Inność aż nadto oczywista,
już uchwycona oka migiem:
typowy miejski inteligent,
dziennikarz, sceptyk, socjalista...
Po chłopsku — ciarach: pan z za biurka.
W dodatku niełaskawy dziś,
bo już na wstępie mnie oburknął.
Potem — niemalże nonszalancko
wspomniał, że ojciec sklepik miał,
a on „mało udany człeczek",
odbiegł od pionu cokolwieczek.

4

— Widzi Pan, pęd asymilancki
— miewa i taki aspekt: żyd
— zamiast procenty w sklepie liczyć,
— skacze w — Romantyzm, w — Mickiewicza,
— a potem już w — Socjalizm śmiele...
— Tylko że wtedy tamto — ludzkie
— jest w nim tak — polskie, wręcz „piłsudskie",
— chociaż i pomieszane z — Perlem.

5

Śmiejemy się. Rzecz bardzo rzadka
okazja do podobnych gawęd,
przy których trzeba — nie od wczora,
jak Paryż okiem Rochefort'a,
widzieć w retrospektywnem tle,
by dosnuć się stałego wątku,
od dziewięćsetnych lat początku,
m i l i e u —
Warszawy mojej.

6

Trzeba wiedzieć,
kto gdzie na jakim stolcu siedział
i — wszystkie rysy, wzloty, szczerby,
śmieszności — solidarnie znać,
by — pocichutku — akceptować;
bo, Pan rozumie, ta Warszawa
ma swoje niepisane prawa,
swój Herbarz.

7

Błękitną księgę, w której — Perl
był księciem, Nowaczyński hrabią,
baronem Rabski, Tuwim zaś
jeszcze szlachectwa się dorabiał.

8

Ktoś nowy musiał sięgać w Grabca,
grzebać się w jakichś tam archiwach,
aby ustalać, odkopywać —
ile posiadał Niemojewski
morgów na „Myśli Niepodległej",
a ile PPS w — rozległych
borach na swoim „Robotniku".

. . . .

Nad wszystkiem zawisł — Wielki Cień,
którego już — Wawelska strzegła
krypta. Leciał. Znikał
w — Historię.

9

W baraku dżungli afrykańskiej
ów — ledwo dostrzegalny — dotyk
uśmiechu — sublimacji uczuć,
jak kot na łóżku cicho mruczał
czarem warszawskiej anegdoty.
Kot się przeciągał, zwijał, skradał,
też — duch. Minionych zdarzeń świadek.

10

Więc — dom. Dom stary. Dobry dom.
Czy „na Warszawie" czy „na Lipie",
nie wszystko-ć jedno. Żwir zaskrzypiał
w odpowiedź —
łzom.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

STANISŁAW GOGŁUSKA

Karol Irzykowski

(1873—1944)

Twórczość krytyczna była niemal zawsze piętą achilesową naszej literatury. Pole krytyki literackiej w Polsce leżało najczęściej odłogiem. Zrzadka jeno przeorywali ten ugorny grunt tacy pionierzy, jak Maurycy Mochnacki czy Stanisław Brzozowski. Oni właśnie wykreślili dwie znane i uznane linie, po których szedł rozwój rodzimej krytyki literackiej. Do ich tradycji nawiązuje do dziś nasza krytyka, ilekroć sprzykrzy się jej szukanie wzorów obcych. Takie jednakże mocne indywidualności pojawiały się w dziejach krytyki niezwykle rzadko; dużo częściej wyprawiali na nim swawolne harce dyletanci. Rzecz jasna, że taki stan rzeczy nie mógł sprzyjać normalnemu rozwojowi polskiej literatury. Zatęchłej atmosfery życia literackiego nie oczyszczał świeży i ożywczy wiew krytyki literackiej na dużą miarę. Gubiła się tu i tam linia jej rozwoju, a z nią i ciągłość procesów życia literackiego, zatracała się literacka tradycja, a młode generacje pisarzy nie miały się na czym oprzeć, nie czuły pod nogami twardego gruntu, przygotowanego i użyźnionego przez świadomą swych celów i wykierowaną w przyszłość krytykę. Nad losami polskiej literatury fatalnie zaciążył fakt, że krytyka literacka nie potrafiła spełnić swojego zadania wobec literatury, nie umiała zdobyć się na sformułowanie konkretnego programu na daleką metę oraz na skonfrontowanie postulatów z osiągnięciami. Wdzięczne zadanie stoi przed badaczem, który spróbuje stwierdzić, w jakim stopniu brak solidnej i systematycznej krytyki hamował prawidłowy proces rozrostu literatury polskiej.

Że zagadnienia krytyki literackiej nie postawiono na właściwej płaszczyźnie i nie rozwiązano należycie aż do ostatnich czasów, świadczy o tym fakt, iż w dyskusjach seminaryjnych na polonistyce w okresie międzywojennym stale poklepywało się protekcjonalnie po ramieniu krytykę literacką, przeciwstawiając jej rzekomemu dyletantyzmowi niezawodną naukowość metod badania historii literatury. Na takim podłożu wyrastało u młodych adeptów polonistyki aprioryczne uprzedzenie i krytyczne ustosunkowanie się do krytyki literackiej. Równocześnie zaś tzw. „twórcy“ patrzyli na krytykę z pobłażliwą wyższością i odmawiali jej wartości twórczych, czy nawet współtwórczych. Tak krytyka literacka, postawiona pomiędzy dwoma nieprzyjaznymi jej grupami: „zawodowców“ i „geniuszów“, systematycznie spychana do podrzędnej roli kopciuszka literatury, cierpiała chronicznie na kompleks niższości i mało kto umiał zdobyć się na odwagę, by stanąć w obronie jej praw i jasno sformułować jej zadania*).

---

*) Redakcja Pamiętnika Literackiego nie podziela powyżej sformułowanej przez Autora artykułu oceny całości polskiej krytyki literackiej. Ograniczenie jej do Mochnackiego i Brzozowskiego oraz do Irzykowskiego jest conajmniej zbytnim uproszczeniem. Trudno jest nie doceniać zupełnie roli innych znanych krytyków, że wspomnimy tylko K. W. Zawodzińskiego i Ostapa Ortwina.

Z tych brzemiennych w konsekwencje niedomogów literatury polskiej dobrze zdawał sobie sprawę Karol Irzykowski. Twierdził on, że „ciągłość dyskusji literackiej w sprawach, które powinny być wciąż na kowadle myśli, zatraca się nieustannie. Jeden mówi do sasa drugi do lasa; nie wiedzą o sobie wzajemnie, lekceważą się wzajemnie, odkrywają niepotrzebnie Ameryki. Praca myśli się nie sumuje". W tym niesumowaniu się pracy myśli widział Irzykowski źródło niedorozwoju polskiej literatury, która stale cierpiała na brak średniej dobrej produkcji literackiej, literatury, w której — jak mówi gdzie indziej — „są tylko arcydzieła, ale nie ma literatury w znaczeniu ruchu literackiego, który zuchwale pozwala sobie na wytykanie własnych celów i przez to osiąga własne ziszczenia lub dorabia się własnych błędów". Dlatego uważał on, że zasadniczym zadaniem Akademii Literatury jest w pierwszym rzędzie „pilnować ciągłości zagadnień i dyskusji literackiej", w ten tylko bowiem sposób zapewnić można przyszłość literatury. Dlatego chciał z krytyki literackiej uczynić pewne i sprawnie działające narzędzie. Dlatego przekonywał z uporem, że krytyka musi budować program literatury, bo „do dnia dzisiejszego należy się tylko przez zapełnienie go czynnością wymierzoną w jutro". Walcząc zaś o godność krytyki pisał: „Krytyka jest negatywnym uświadomieniem się tęsknoty poezjotwórczej, która zamiast snuć własne pomysły, postacie i sceny — z cudzych pomysłów, postaci i scen, wysnuwa samą siebie. A więc zarzut, że krytyk jest skrachowanym poetą i że za swoją „bezpłodność" lubi się mścić na „prawdziwych twórcach" jest wprawdzie bardzo tani i bardzo perfidny, ale oparty na trafnej diagnozie i mówi prawdę wielką i chlubną" (*Słoń wśród porcelany*, 1934). Wyznanie to posiada specyficzną wymowę osobistą, sam bowiem Irzykowski rozpoczął swoją karierę pisarską jako twórca i dopiero później przeszedł jako „skrachowany" na pole krytyki. Krytyka — mówi gdzie indziej — posiada również charakter twórczy, „jest sama także sztuką", „jest twórczością integralną", „mniej głośną, lecz ważniejszą częścią warsztatu ducha". Z tych paru cytatów przegląda jasno jego ideał krytyki, krytyki-twórczości, której zadaniem jest formowanie życia literackiego swojej epoki, uświadamianie celów literatury i prowadzenie jej w przyszłość. Granicy między twórczością a krytyką Irzykowski nie dostrzega. Krytyk jest równocześnie twórcą i jego twórczość decyduje o ogólnym obliczu literatury danej epoki, aczkolwiek jego wielka praca jest bardzo niewdzięczna. Sam Irzykowski doskonale wiedział z własnej praktyki literackiej, jak bardzo niewdzięczny jest trud krytyka i jak bardzo u nas nie doceniany. Głos jego był przecie w ciągu lat kilkudziesięciu głosem wołającego na puszczy. Nikt go nie chciał słuchać. Irzykowski walczył uporczywie o zrealizowanie swojego ideału krytyki. Walczył samotnie, z pasją i uporem przedzierał się poprzez gąszcz uprzedzeń i przestarzałych przesądów, żmudnie torował nowe ścieżki, by krytykę polską wyprowadzić z zaściankowego zaułka na szerokie europejskie szlaki. Bolał go brak uznania dla jego wysiłków, toteż z goryczą stwierdzał: „Sława literacka za życia jest sporna i ciężka, a po śmierci wątpliwa i wsiąkliwa".

W dziejach polskiej krytyki literackiej Karol Irzykowski stanowi całą epokę. Wnosi on do niej nowe elementy, rewiduje pojęcia, odświeża atmosferę. Jest to przede wszystkim pisarz walki, nie poddający się nigdy, sam wiecznie atakujący, rozdzielający ciosy na prawo i lewo. Nic dziwnego, że jako motto dla jednej ze swoich książek wybiera słowa Falstafa z szekspirowskiego *Króla*

Henryka IV: „Szelmą jestem, jeżelim sam na pół długości szpady nie potykał się z dwunastoma przez dwie godziny. Cudem tylko ocalałem...“ Osią całej jego działalności krytycznej jest walka. Walka z błędnymi ideami, z „przesądami i przesadami“, z ludźmi. Z „plagiatorstwem“, „talentyzmem“, „niezrozumialstwem“, z myślową i literacką łatwizną, z „piłą marksistyczną“, z Witkiewiczem, z Boyem. Jest w tej jego walce jakaś niewyładowana pasja twórcza, jest fanatyzm i bezwzględność. Nieraz prowadzi go ona do złośliwości i niesprawiedliwości wobec drugich, ale do swoich potknięć i błędów potrafi się on przyznać. Tak np. w „przypisku późniejszym“ (częsty u Irzykowskiego zwyczaj świadczący o jego „ésprit de suite“) do jednego z artykułów polemicznych, skierowanego przeciw teorii Chwistka o wielości rzeczywistości, pisze on: „W zapale bojowym nie potraktowałem dzieła p. Chwistka sprawiedliwie“ i dalej wylicza zalety tego utworu.

Każdemu poglądowi, który go interesuje albo też wydaje mu się ważnym, lubi się przeciwstawić, przenicować go, obejrzeć ze wszystkich stron, sprawdzić i uzupełnić, a jeśli nawet przyzna komuś zasadniczą rację, nie omieszka dorzucić swoich licznych zastrzeżeń i poprawek. Wieczny duch negacji, sprzeciwu i przekory. Zawodowy — rzec by można — opozycjonista. Podprądowiec. W jednej z przedmów do swoich książek powie sam o sobie: „Nie pouczałem — przeciwstawiałem, mieszałem szyki, stawiałem znaki zapytania. Przyznaję też chętnie, że sam się przy tym wiele nauczyłem“ — i zaraz to uzupełni przekorną uwagą: „Nie tyle od moich przeciwników wprost, ile przez to, że nowa sytuacja dawała mi sposobność do sprawdzania i poprawiania swoich poglądów“. Te przedmowy zresztą i wstępy są dla niego niezwykle charakterystyczne. Są to przedmowy-wyznania i przedmowy-rady dla czytelnika, zaopatrzone w tego rodzaju dopiski: „Mniej cierpliwym czytelnikom radzi autor zacząć lekturę od szkiców następujących...“

Irzykowski odżywa, staje się sobą dopiero w atmosferze dyskusji, rozmowy literackiej. Wiecznie przyczajony, czyha na przeciwnika, oczekuje na zarzuty, po to, by je odeprzeć, by nie stracić okazji przeciwstawienia się im. Gdy nie ma na placu przeciwników, dyskutuje sam z sobą, sprawdza i koryguje własne sądy. Kiedy w *Beniaminku* wypowiada walkę Boyowi, sam zaproponuje Peiperowi, aby wystąpił przeciw tej książce w tych punktach, które uważa za niesłuszne. Na zastrzeżenia Peipera nie odpowiada wprost w rozmowie, nie chce bowiem stracić okazji do dyskusji publicznej. Te polemiki i walki, nieraz bezwzględne i nie pozbawione momentów osobistych, robią mu wiele wrogów. Tak, za atak na Boya zamykają mu swoje łamy *Wiadomości Literackie*.

W świetle tych rozważań cały sens pracy krytycznej Irzykowskiego miałby na pierwszy rzut oka charakter n e g a t y w n y. Taki sąd nie byłby jednak ścisły. Działalność krytyczna Irzykowskiego ma wprawdzie często, może najczęściej, charakter negatywny, ale jednocześnie jest w niej wiele elementów p o z y t y w n y c h. Jego walka jest nie tylko rozprawą z przeciwnikiem i z tym, co uważa za błędne, ale także ma na celu oczyszczenie atmosfery życia literackiego, jest walką o „g o d n o ś ć k r y t y k i“ (tytuł jednego z artykułów), której ideał konkretnie formułuje, walką o o r y g i n a l n o ś ć, o prawa e k s p e r y m e n t u literackiego, jest w końcu *Walką o treść* (1929) — taki tytuł nosi najważniejsza programowa książka Irzykowskiego, w której rozprawia się on z witkiewiczowską teorią „czystej formy“. W tym zbiorze „studiów z literackiej teorii poznania“

formułuje własny program literacki, któremu zostanie do końca wierny. Na marginesie walki z Witkiewiczem mówi Irzykowski o tym, jakie powinno być dzieło literackie, wypowiada swój pogląd na realizm — „realista to ten, który inaczej zobaczy rzeczywistość niż pisarz przeciętny, operujący konwencjami percepcji" — wreszcie kreśli swój ideał literatury „jako praeformy dla wyższych typów życia", a na pierwszy plan wysuwa jej misję społeczną: każe jej szukać drogi od człowieka do człowieka poprzez sumienne i dogłębne roztrząsania praktycznego życia ludzkiego, w pierwszym zaś rzędzie problemów współżycia. Wiąże on zawsze literaturę z życiem; zjawiska literackie stają się dlań punktem wyjścia do rozważania zagadnień ogólno-kulturalnych oraz problemów praktycznego działania. Takie właśnie podejście do literatury, podkreślenie jej walorów społecznych, jej funkcji odkrywczej w stosunku do życia i jej roli wychowawczej — obok tego również solidne przygotowania filozoficzne i szacunek dla rzetelnej wiedzy — zbliża ku niemu młodzież literacką, szukającą w teorii poznania podbudowy dla naukowych badań literackich i usiłującą związać literaturę z życiem praktycznym. Z tą młodzieżą najchętniej i najczęściej — sam wiecznie młody duchem — przebywa. Przysłuchując się dyskusjom literackim młodych, naszpikowanym trudną terminologią filozoficzną, cieszy się szczerze, ze „Sitzfleisch" ma jeszcze w Polsce swoich zwolenników. Ci młodzi lgną do niego całym sercem i w ostatnim roku przed wojną składają hołd jego twórczości w numerze specjalnym *Pionu*.

Irzykowski jest także prekursorem nowych idei, związanych zresztą nie tylko z literaturą. Tak np. w *Dziesiątej muzie* (1924) rozważa on zagadnienie estetyczne kina, wyprzedzając daleko ówczesną teorię i praktykę kinową. Przytoczę tu znowu fragment przedmowy do tego dzieła: „Sprawiało mi przyjemność rozmyślać nad kinem jako dziedziną jeszcze przez myślicieli nietkniętą. To co mogłem niekiedy przeczytać w czasopismach fachowych, było przeważnie reklamą albo dyletanctwem estetycznym". Z dyletanctwem i łatwizną walczy Irzykowski zawsze i wszędzie. Sam erudyta i intelektualista par excellence, wymaga od swoich przeciwników przygotowania teoretycznego, znajomości przedmiotu, oczytania, przede wszystkim zaś właściwej metody badania. Jest wprost fanatykiem metody.

Od pisarza czy krytyka wymaga „maksimum subtelności i maksimum skomplikowania". Słowo „komplikacja" to jego ulubiony termin. Jest przekonany, że „zasada komplikacji, nie zasada „życia" jest naczelną ideą nowej kultury". I sąd ten tak dalej uzupełnia: „Mieści się w niej nie dziecinne rozkoszowania, że się to wszystko tak jakoś kłębi, że tego tak dużo, lecz męska chęć widzenia wszystkich trudności i opanowania ich" — to, co w innym miejscu określa terminem: „schwytać płomień". Tym właśnie terminem można by najprawdziwiej wyrazić istotę jego literackich usiłowań.

Szczególnie ostro występuje przeciwko „plagiatorstwu" w artykule *Plagiatowy charakter przełomów literackich w Polsce*, zaopatrzonym bogato w późniejsze przypisy i dodatki. Zwraca tutaj uwagę na „ohydną atmosferę tolerancji wobec plagiatu w Polsce, gdzie się ten grzech przeciwko duchowi św. bagatelizuje, usprawiedliwia, a nawet popiera" i stwierdza z goryczą, że „jesteśmy ciurami Zachodu i nie mamy nic na eksport, prócz wysokich arcydzieł". Jednocześnie zaś usiłuje budzić dotąd „drzemiące w Polsce sumienie oryginalności" i jest tej oryginalności gorliwym propagatorem. Sam często cytuje,

bo cytaty uważa za dowód kultury literackiej: „po cytatach poznaje się literatów"; nawiasowo dorzuca tutaj jeszcze złośliwie: „I wolę cytować niż kraść". Kiedy zaś jego walka o oryginalność nie dawała pożądanych rezultatów, pisał z goryczą i sceptyzmem: „Ale ja nie zmienię charakteru polskiej literatury i nie zmieni jej nikt w Polsce. Tu można być co najwięcej prekursorem, ale nigdy pionierem. Przyszłość literatury, tak samo jak całej kultury polskiej przygotowuje się poza jej granicami, na Zachodzie i Wschodzie, tam gdzie zapadają główne rozstrzygnięcia kulturalne, które my otrzymujemy już gotowe" *(Literatura a socjalizm)*.

Irzykowski występuje także przeciwko „najgorszemu ze wszystkich izmów: talentyzmowi". Stwierdziwszy, że nasze życie literackie polega na tym, że „wszyscy sobie wzajemnie przyznają talent lub odmawiają, usiłuje przesunąć akcent „z kwestii talentu na kwestię samego dzieła. Nie twórca jest ważny tylko wzór". Wyłączne kryterium talentu nazywa „kryterium buhajowatym". Zwalczając talenty podnosi za Brzozowskim w swojej książce *Czyn i słowo* ideę pracy, acz i tutaj dorzuca — jak zwykle — często gęsto swoje zastrzeżenia, uwagi i uzupełnienia. Zasady talentu Irzykowski w gruncie rzeczy nie odrzuca, zwalcza tylko jej przerost. Sam nierzadko zajmuje się pisarzami i dziełami drugorzędnymi, a w pochwale twórczości Goetla, wygłoszonej w Akademii Literatury rzuca na marginesie jednej ze słabszych jego książek *(Wyspa na chmurnej północy)* taką uwagę: „ja nie rozważam tzw. błędów, mnie zawsze interesuje i cenniejsze mi jest żywe tworzywo ludzko-literackie, więcej niż osiągnięcia i rangi". O pisarzach obcych mu duchowo po prostu nie pisze, problematyka ich dzieł nie obchodzi go, często natomiast wysuwa swoje zastrzeżenia co do twórców bliskich mu, bo „nas literatów wspólności duchowe dzielą i do protestu pobudzają więcej niż różnice".

Irzykowski jest pisarzem trudnym. Swoje myśli formułuje czasem w sposób zawikłany i niejasny, często operuje paradoksem, nie gardzi dowcipem. Jego artykuły zawierają zawsze bogaty ładunek myśli, ściśnięty w niewielkiej ilości słów. Często zdania mają charakter aforyzmów. Zbiorem mniej trudnych artykułów jest ostatnia przedwojenna książka Irzykowskiego *Lżejszy kaliber* (1931). Wydaje mi się, że dla uzupełnienia charakterystyki tego pisarza nie od rzeczy będzie przytoczyć najczęściej cytowane aforyzmy Irzykowskiego z *Lżejszego kalibru*:

„Zawsze trudno mi jest usnąć, ponieważ tylko we własnym towarzystwie się nie nudzę".

„Jeżeli dwóch mówi to samo, to nie jest to już to samo".

„Najgorszy jest taki głupiec, który ma trochę racji" — oraz kilka dystychów Coh-i-noor'a (z *W sztambuchu Pana Karolowym*):

Irzykowski na barykadach.

„Nie chcąc z prawa ni z lewa stanąć dla zasady,
Staje po trzeciej stronie każdej barykady".

Wywiad z Irzykowskim.

„Czy zna pan — zapytałem — jakiegoś poetę
Awangardy?". „Znam — odrzekł — nazywa się Goethe".

Irzykowski i literatura dzisiejsza.

„Widzi w niej, biegły krytyk rzecz bardzo zabawną:
Robienie wynalazków, zrobionych już dawno“.

Irzykowski i młodzież literacka.

„Czy go Steinach odmłodził, że na stare lata
Wnukowie go traktują, jak starszego brata?“

Irzykowski i mitologia.

„Gdy jak Edyp ze Sfinksem oko w oko stanie,
Zwycięży — bo... sam pierwszy zada mu pytanie“.

Karol Irzykowski jest w pierwszym rzędzie krytykiem o wielkim rozmachu dynamicznym, o poważnej niezależności i samodzielności myślowej, o rozległej skali zainteresowań, jest jednym z niewielu intelektualistów w naszej literaturze. Ale działalność jego nie ogranicza się do krytyki literackiej. Jest on również poetą i dramaturgiem, powieściopisarzem i nowelistą. Wielbiciel eksperymentów, rozpoczyna swą twórczość głośnym w swym czasie eksperymentem — *Pałubą* (1903), zupełnie już dziś zapomnianą. Przypomniano sobie tę prekursorską powieść psychologiczną dopiero wtedy, kiedy modnym stał się Proust. Poprzez rozbicie kompozycyjne powieści i zdemaskowanie rutyniarskich chwytów technicznych, poprzez zuchwałe metody najnowocześniejszej analizy psychologicznej i celowe wygrywanie wszystkich możliwości i wariantów bez poddania ich selekcji, poprzez wstawki i dygresje krytyczne dochodzi Irzykowski w tej powieści do ciekawych wyników artystycznych i poznawczych. Jak w *Pałubie* wyprzedza Prousta, tak w zbiorze nowel *Spod ciemnej gwiazdy* staje się prekursorem kierunku łączącego fantazję z groteską, a reprezentowanego u nas przez Szulca *(Sklepy cynamonowe)* i Gombrowicza *(Ferdydurke)*, których utwory dziś, w Polsce powojennej uważa się za najciekawsze osiągnięcia polskiej literatury w okresie dwudziestolecia. Nowele te są jakby nie wykończone artystycznie, dają jednak zawsze nowe pomysły i mają charakter inicjatorski. Są one pisane na miarę poglądu przejętego od P. Heyse'go — Irzykowski wychował się na literaturze i filozofii niemieckiej, a pierwsza jego praca krytyczna nosi tytuł *Fryderyk Hebbel, jako poeta konieczności* — że nowela, zgodnie z pierwotnym znaczeniem tego wyrazu, ma być w pomyśle czymś nowym, nowością; dlatego też kwestia wykonania, wykończenia schodzi tutaj na plan drugi.

* * *

Nazwisko Irzykowskiego znajduje się dziś na liście strat literatury polskiej. Lista ta jest boleśnie długa. Obejmuje ona według obliczeń Kazimierza Czachowskiego (*La littérature en Pologne libérée* w *Poésie 46* nr 32) mniejwięcej 25% polskich pisarzy. Okres okupacji spędził Irzykowski w Warszawie. Nie sposób dziś jeszcze stwierdzić, jaki jest jego dorobek twórczy z okresu wojny i w jakim stopniu gruzy walącej się stolicy pochłonęły jego prace. Wiadomo tylko, że był on jedną z wielu ofiar warszawskiego powstania. Ciężko ranny w dniach walki, zmarł w krótki czas po powstaniu w jednej z miejscowości podwarszawskich. Najbardziej nowoczesna krytyka polska straciła swego prekursora.

Stanisław Gogłuska

ADAM PRAGIER

Dziś i jutro emigracji

Odczyt wygłoszony w dniu 5 kwietnia 1946 r. w Londynie.

Środowisko polskie na obczyźnie po wojnie światowej nie jest w ścisłym znaczeniu tego wyrazu emigracją. Emigrantami są ci, którzy opuszczają kraj na jakiś czas lub na zawsze, dlatego że pragną żyć i pracować gdzie indziej, gdzie znajdują lepsze ku temu warunki. Polacy na obczyźnie, zarówno żołnierze Polskich Sił Zbrojnych, jak i cywilni opuścili kraj w toku wojny światowej w tym jedynym celu, by móc na obczyźnie prowadzić skuteczną walkę w jego obronie. Przekonani byli, że powrócą niezwłocznie po zwycięstwie, do którego ze wszystkich swoich sił przyczyniali się. Pozostają dziś oni nadal poza krajem nie dlatego, że nie pragną powrotu. Zatrzymuje ich obowiązek walki o niepodległość, w którego spełnianiu nikt ich zastąpić nie może.

Polacy na obczyźnie muszą w tej walce wyręczać w wielu sprawach Kraj, który pozostaje pod obcą okupacją i nie ma możności działania. Ludność w Kraju musi starać się o samozachowanie istnienia narodu, w warunkach, na jakie pozwala okupacja. Polacy na obczyźnie muszą przemawiać do świata imieniem całego narodu, jako ta jego część, która jest jedynym żywym elementem wiążącym Polskę z Zachodem. Muszą ujawniać prawdę o tym, co się dzieje w Polsce. Muszą — wreszcie prowadzić samodzielną politykę zagraniczną polską w powiązaniu z tym, co dzieje się w Europie i na świecie.

Naród polski na wygnaniu

Gdy porówna się środowisko polskie na obczyźnie, pozostałe po drugiej wojnie światowej z emigracjami politycznymi po roku 1831 i po roku 1863, okaże się, że jesteśmy dziś mimo całej tragedii sytuacji przygotowani do działania lepiej, niż wówczas. Tamte emigracje były liczebnie szczupłe, socjalnie jednostronne. Miały charakter elitarny. Pod względem prawno-politycznym były bezpostaciowe. Tradycję pańtwową przerwały zdarzenia o pół wieku wcześniejsze. Dzisiejsze środowisko polskie na obczyźnie wywodzi się wprost z Polski niepodległej. Ma tradycję państwową nienaruszoną. Znaczna jego część dojrzała w Polsce niepodległej. Ponadto polskie środowisko na obczyźnie ma za sobą udział w akcji wojennej, jaknajbardziej bezpośredni, gdy dwie emigracje popowstaniowe znalazły się na obczyźnie po klęsce i było im dane jedynie tylko przeżywanie tej klęski. Wreszcie dzisiejsze środowisko polskie na obczyźnie przechowało prawno-państwową ciągłość Rzeczypospolitej, co było użyteczne nie tylko w czasie wojny. Liczebność i wszechstronny skład społeczny tego środowiska, bliski przekroju społecznego narodu polskiego, upodobnia go do narodu w kraju tak ściśle, że ma ono prawo poczytywać się za *Naród Polski na wygnaniu*, będący częścią i zarazem organem działania narodu w Kraju.

Ten naród polski na wygnaniu ma liczne i wielorakie skupienia, na których opierają się jego działania. W Polskich Siłach Zbrojnych, liczących 200.000

żołnierzy i w kilkudziesięciu tysiącach ludności cywilnej, którą wojna wygnała z Kraju jest jej element politycznie najwyższy i najbardziej z Krajem związany. W Niemczech znajduje się dziś jeszcze powyżej 600.000 Polaków wysiedlonych (displaced persons), z których część tylko zechce powrócić do kraju. Pozostała reszta zdecydowana jest pozostać na obczyźnie z tych samych przyczyn, co Polskie Siły Zbrojne — dla protestu przeciwko temu co uczyniono z Polską, dla walki o niepodległość.

Obok tych elementów polskich, którym układ jałtański narzucił charakter emigracji politycznej, istnieje silne, gospodarczo niezależne, Polsce niezachwianie wiernie i politycznie bardzo żywe, dawne skupienie polskie we Francji, liczące 600.000 ludzi oraz skupienie polskie w Westfalii, liczące powyżej 100.000 ludzi. A wreszcie, Polonia amerykańska zachowała w pełni więź serdeczną z krajem swoich ojców i toczy w swym kraju wytrwałą walkę o przywrócenie walorów Karty Atlantyckiej.

Jeszcze nie pokój...

Sprawa Polski nie jest skończona. Nie jest także skończona wojna światowa, chociaż ustały działania wojenne i zmienione są fronty tej wojny. W pewnych kołach anglo-saskich wypracowano doktrynę pokoju światowego, opartą na tak zwanym realiźmie politycznym. W praktyce miało to oznaczać podział świata na sfery wpływów wielkich mocarstw. Miano na myśli właściwie trzy mocarstwa. (Amerykę, Imperium Brytyjskie i Rosję), ale z uprzejmości dodawano jeszcze Chiny i Francję. Stąd mówiło się z początku — „Big Five". Ale w okresie Jałty, Poczdamu i Moskwy zrobiło się z tego „Big Three", a potem poczęto już nawet mówić „Big Two". (Wielkiej Brytanii, chciano na okres powojenny narzucić taką rolę, jaka przypadła Francji po pierwszej wojnie światowej).

„Realiści" polityczni anglosascy przekonali się rychło o swojej iluzji. Rosja skorzystała z przyznanej jej strefy wschodnio-europejskiej dla skonsolidowania swojej nowej bazy komunistycznej w Europie, sięgającej aż po Elbę i pożytecznej dla jej przedsięwzięć imperialnych, a potem — odrzuciła samą zasadę strefy wpływów. Rozpoczęła ofensywę na Dalekim Wschodzie, w basenie wschodnim morza Śródziemnego oraz w Niemczech, Włoszech, Francji i Hiszpanii. Ofensywa ta zmierza już nie tylko przeciw strefie wpływów obu partnerów anglosaskich, ale wręcz przeciw samemu stanowi posiadania Imperium Brytyjskiego. Znajdujemy się dopiero u jej początku. W Wielkiej Brytanii odpowiedziano na to narazie skromnym zabiegiem obronnym w Grecji i dążeniem do zacieśnienia stosunków z Francją. Oczywiście trwa nadal tradycyjna przyjaźń z Holandią, Belgią i Portugalią. Nie jest to konsolidacja strefy zachodniej, ale raczej utwierdzanie przyczółków obronnych, zabezpieczających wyspy brytyjskie i drogi imperialne. Rychło okazać się musi, że to nie wystarcza. W polityce światowej współczesnej, elementami działania są całe kontynenty. Rosja operuje w swojej polityce europejskiej i azjatyckiej właśnie kontynentami. To samo czyni Ameryka — narazie na swojej zachodniej półkuli i w Azji. Wielka Brytania przeciwstawia obecnie sowieckiej polityce kontynentalnej w Europie swoje dotychczasowe koncepcje „strong pointów" i przyczółków.

Oczywiście, cały ten zarysowany powyżej obraz jest przesłonięty gęstą tkanką pół prawd i całych nieprawd oraz technikolorową dekoracją Organizacji

Zjednoczonych Narodów. Rozgrywają się tam „konflikty", które są zniekształconymi widmami rzeczywistych konfliktów i dokonują się „odprężenia" i „pojednania", które w sytuacji nic nie zmieniają.

Nie jest tedy pokój ustabilizowany i nie widać nawet zdecydowanej dążności do znalezienia środków, wiodących ku jego stabilizacji. Liczy się wciąż nie wiadomo na co, a raczej na jakiś cud, który rozwiąże trudności. W rzeczywistości liczyć należy się raczej z rozszerzaniem się powierzchni tarcia, a może nawet z zaostrzeniem konfliktu.

Skoro w grze jest walka o kontynent i skoro wątpliwe jest czy jakiekolwiek „przyczółki" od rozegrania tej walki nieszczęsną Europę zwolnić zdołają, Polska położona w jej sercu wraz z otaczającą ją grupą państw, sięgającą od Bałtyku do morza Czarnego, Śródziemnego i Adriatyckiego, stać się może niebawem nadal aktualnym punktem na mapie politycznej. Nie zdołają temu zapobiec żadne uroczyste zapewnienia wzajemnej życzliwości „Big Three", a tym bardziej „Big Two", z których jeden chciałby stać się właśnie „Big One".

Polska — żywe zagadnienie polityczne

Sytuacja wymaga zatem, by Polacy na obczyźnie zachowali nadal w pełni swoją jednolitą podstawę wobec rzeczywistości politycznej, w jakiej znalazła się Europa i nasz Kraj, a nie wobec jej pozorów. Jak długo wypadnie nam pozostać poza Krajem — nie wiadomo. Kierownictwo polityczne polskie, wytworzone w okresie wojny dbać musi o takie ukształtowanie losów emigracji r. 1945 (data Jałty — dzień 12 lutego 1945 r.), by zdołała ona przetrwać, jak długo będzie trzeba i spełnić jaknajlepiej swój obowiązek wobec Rzeczypospolitej. Odpowiedzialność za to spoczywa nie tylko na tym kierownictwie, ale na wszystkich Polakach na obczyźnie.

Defetyzm, czy zwątpienie w możliwości działania w obronie naszej sprawy, są, mimo całej grozy położenia, nieuzasadnione. Uderzającą przecież jest rzeczą, że nad wszystkimi krajami, leżącymi w strefie władania sowieckiego zalega głuche milczenie. O Polsce milczeć nie podobna, mimo że z tylu stron tak wielkie czyni się wysiłki, by samo imię polskie wykreślić z pamięci. Polska powraca wciąż na powierzchnię, nie tylko jako wyrzut sumienia, bo to dziś niewielkie ma znaczenie.

Powraca, jako żywe zagadnienie polityczne, tak samo nie rozstrzygnięte, jak nie rozstrzygnięty jest los Europy. A nad tym właśnie, by o Polsce nie zapominano czuwają wszyscy Polacy, którzy mogą swobodnie przemawiać.

Adam Pragier

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Po tamtej stronie...

I

PTASZEK

Ktoby z nas zgadł,
że cały świat
to — w oknie daszek z góry)*
i z dołu daszek.
Pomiędzy nimi — strzępek chmury,
a na krawędzi blachy —
ptaszek.
Citoyen jedynej dziś,
udzielnej dziś —
Republiki Swobodnych Dachów.

Dlaczego tak?
Ach wiem, to — znak,
że ptaszek nie miał —
uczonych, wodzów, świętych,
Petrarków i Ariostów...
Że z wszystkich elementów
jest tylko — on i ziemia,
poprostu.

Więc ptaszkom — wolna ziemia,
a nam — więzienia.

II

SZCZURY

My oba — szczury,
czarny i rudy,
jeden z nas pewno
poźre drugiego.

---

*) „Jeżowskij kozyriok" — system osłaniania okien więziennych w Rosji Sowieckiej.

Stoi na straży
śmierć z nabitym naganem w łapie —
a tu — szur, szur...
szur... szur...
szczurze kroki po korytarzach
szeleszczą, chrobocą, skradają się,
człapią.

Troszczą się czarne szczury,
by ten rudy dotrwał do dnia,
pięknego dnia —
kiedy stanie nawprost kilku luf pod murem.

III

„NOTRE DAME DE PARIS"

Czytam „Notre Dame de Paris"
(Gosizdat — dwieście tysięcy...)
Taki nakład?! Czy mi się śni?...
W Anglii, Francji i Belgii razem
nie byłoby więcej.
No i wierz tu kampanii plotek
o chłodzie, głodzie i krwi,
jeśli mają — „Notre Dame de Paris"
w każdej z więziennych bibliotek.
A że mamrów jest stokroć więcej
niż we Francji, Anglii i Belgii razem
rozumiem odrazu,
dlaczego — dwieście tysięcy.

IV

SPRAWOZDANIE

— Skruszony, wreszcie się przyznał,
— przed samą śmiercią,
— że do zdrady sowieckiego narodu,
— proletariackiej swobody
— namówili go — Hitler, Trocki i Churchill.
— Przypomniał sobie ów zjazd
— w Berlinie
— z Franco i Mussolinim, —
— miał też być przy tem
— Wincenty Witos,
— a może — Kot...
— (Wot, wot...)

— I ktoś o dziwnem nazwisku —
— Maggi albo Marmaggi,
— kardynał czy arcybiskup.
— Nadto —
— badany — posiadał auto
— w Polsce. I — sześć pokoi
— (w tem miejscu zataił jeden,
— bo było — siedem
— z kuchnią i przedpokojem).
— Tłomaczył, że to „po ojcu",
— aż nagle wyszło na jaw,
— że pod Warszawą w Dwudziestym
— strzelał i zabił trzydziestu
— bojców.
— Wobec tego należy mniemać,
— że nie był to — Jan Kostrzewa,
— urodzony w powiecie Łódzkim,
— lecz jakiś przebrany agent
— niemieckiego wywiadu,
— jak naprzykład — Sławek albo Piłsudski.

V

EPILOG SENTYMENTALNY

Nie myślałem że będę grzebać
Rosjo, w twoich zetlałych szczątkach —
chociaż wiem, że twe „żegnaj" — prosti — to „prze-
nie nawiążę już z nimi wątku... bacz", —
Zapomniane bajki dziecinne,
zbójcy na jawie straszą,
nie zwalczymy ich, stara niańko Arino,
tekturowym pałaszem...
Oto — noc waży na ostrzu chwile,
gdy, tak dawno. kołysałaś mnie do snu...
Pewno gdzieś tam na twej mogile
badylami smutki porosły.
W zimie wiecznej, w mrocznych jesieniach
utonęły skazki-bajki staruszki,
Odszedł — wieczorny Turgieniew
i — świtopromienny Puszkin.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

PROF. DR ANTONI DERYNG

Podstawy organizacji społeczności międzynarodowej

Ostatnia wojna, która zakłóciła życie jednostek, całych narodów i społeczności międzynarodowej, postawiła nas wobec ogromnych zagadnień odbudowy materialnej, a bardziej jeszcze duchowej, wszystkiego tego, co zostało zniszczone. Równocześnie jednak wykazała ona również wszelkie niedomagania naszego świata, zbudowanego na fundamentach, które niejednokrotnie są słabe, mylne i nie odpowiadają już istocie materialnego i duchowego rozwoju życia ludzkości. Wojna ta wykazała nam także, jak daleko zaprowadzić mogą fałszywe i ambitne idee zdobywców świata, czerpiących swą siłę z nienawiści i z dumy rasowej, a stawiających sobie za cel stworzenie nowej cywilizacji opartej na zasadach zła, eksterminacji, niewolnictwa, przemocy silniejszego nad słabszym. Po wywołaniu istnego koszmaru świadomie wyrządzonego zła, zdobywcy owi po kilku latach wojny sami oto strąceni zostają w nicość.

W przeżywanych przez nas obecnie czasach, zmąconych przez tak bliską jeszcze przeszłość koszmarną, przez potworną teraźniejszość i przez wizję więcej niż niepewnej przyszłości, powinno się nawrócić do boskich i wiekuistych prawd, do głębokiej i przewidującej nauki namiestników Chrystusa na ziemi i odnaleść w naturze człowieka, niezdeformowanej przez zło, trwałe podstawy dla odbudowy społeczności narodowych i wspólnoty międzynarodowej.

Jakież są te zasadnicze podstawy i elementy społeczności ludzkiej. Na pierwszym miejscu postawić tu należy jednostkę ludzką jako członka społeczności i równocześnie jako cel jej istnienia a nawet, jako istotny powód istnienia jakiejkolwiek zorganizowanej społeczności. Skolei wymienić należy: porządek moralny, porządek prawny oraz ideał życia zbiorowego tzn. ideał jego kultury, pragnień i nadziei; ideał przedstawiający w swym zarysie generalne linie ewolucji ku mniej lub więcej pełnemu urzeczywistnieniu abstrakcyjnego obrazu społeczeństwa przyszłości.

Przejdźmy do bardziej szczegółowej analizy tych elementów ludzkiej społeczności. Analiza ta wyłoni kapitalne zagadnienia, leżące u podstaw konfliktów, dzielących ludzi, jak również wykaże różnice zachodzące między obecnymi a dawnymi ustrojami politycznymi oraz uwidoczni pewne narzucające się konieczności odnośnie form przyszłej organizacji życia ludzkości.

Człowiek nie jest jedynie tylko członkiem danej społeczności. Jest on równocześnie celem i powodem jej istnienia, ponieważ cele jakiejkolwiek społeczności nie powinny różnić się od tych, do których człowiek ma prawo dążyć i które zostały mu zakreślone przez Stwórcę. Społeczność zorganizowana przychodzić więc ma człowiekowi z pomocą w wypełnieniu jego przeznaczenia.

Jego Świętobliwość papież Pius XII tak mówi mianowicie w swej encyklice Con Sempre:

„Początkiem i istotnym celem życia społecznego jest zachowanie, rozwój i udoskonalenie jednostki ludzkiej przez pomaganie jej do należytego wprowadzenia w życie zasad i wartości religijnych i kulturalnych, wyznaczonych przez Stwórcę każdemu człowiekowi i ludzkości, czy to ujętej jako całość, czy też w jej naturalnych rozgałęzieniach".

Oto prawda, która została wskazana i w jasny sposób ustalona przez chrystianizm.

Poszanowanie godności ludzkiej każdej jednostki, od najsłabszej do najsilniejszej — oto podstawa prawdziwej demokracji, oto podstawa naszej kultury w przeciwstawieniu do ustrojów, opierających się na poddaństwie i niewolnictwie. Poszanowanie godności ludzkiej każdego człowieka — oto podstawa prawdziwej demokracji, zharmonizowanej z naturą ludzką, która dąży do wolności osobistej, do swobodnego rozwoju swoich zdolności indywidualnych, do wolności ekonomicznej i do wolności politycznej. Zasada poszanowania godności każdej jednostki przeciwstawia się wszelkiemu ustrojowi politycznemu, któryby zamierzał utrzymać władzę w rękach zamkniętej w sobie elity egoistycznie chroniącej swych nabytych praw. Jest tu rzeczą bez znaczenia, czy elita ta powstała na skutek rewolucji czy też wytworzyła się w drodze ewolucji, a więc bez wstrząsów, pokojowo. Zasada poszanowania godności ludzkiej każdej jednostki przeciwstawia się rządom totalitarnym, bez względu na ich pochodzenie; rządom, które opierają się na automatycznej równości, uniemożliwiającej swobodny rozwój zdolności indywidualnych, rządom, które dążą do traktowania człowieka, istoty inteligentnej i świadomej, jako przedmiot eksperymentów, przedmiot sklasyfikowany z góry, posiadający swój numer, przedmiot zależny od chimer i fantazji wodzów, którzy przesuwają zagadnienie woli jednostki ludzkiej na płaszczyznę domniemanego zbiorowego interesu i zbiorowej woli.

Zasada poszanowania godności każdego człowieka przeciwstawia się rządom totalitarnym, które usiłowały traktować całe narody jako niewolników i narzucić im niewolnictwo siłą i gwałtem. Rządy te zrobiły wszystko, by podeptać ludzką godność jednostki, by całkowicie poniżyć godność kobiety, przekraczając w swej dzikości najbardziej nawet rozmiłowaną w okrucieństwie wyobraźnię.

Okrutny germański totalitaryzm nie zdołał jednak zabić poczucia godności u podbitych przez niego narodów. Polska, na przykład, która podjęła nierówną walkę w 1939 roku, nie tylko spowodu „korytarza" czy Gdańska, była pierwszym narodem, który przeciwstawił się barbarzyńskiej ideologii i sile zła, rozpętanej w celu zdobycia świata. Polska opłaciła ofiarą kilku milionów swych najlepszych synów swoje przywiązanie do zasady poszanowania godności obywatela, godności polskich mężczyzn, kobiet i dzieci, tych dzieci, które przeżyły ohydę wojny totalnej i barbarzyństwa, które nie zaznały nigdy słodyczy dzieciństwa, chronionego przed okropnościami życia, lub zostały zmuszone o niej zapomnieć.

Zasada poszanowania godności osobistej człowieka jest prawdą żywą, prawdą jasno wykazaną przez tę okrutną wojnę, prawdą, dla której miliony ludzi musiały i chciały poświęcić swoje życie.

Przystępując do głębszej analizy społeczności ludzkiej, musimy przyjrzeć się pojęciu porządku moralnego i pojęciu porządku prawnego, które są zasadniczymi podstawami społeczeństwa. Porządek prawny, państwowy lub międzypaństwowy, jest bezpośrednim dopełnieniem porządku moralnego. Jest rzeczą niemożliwą stworzenie jakiegokolwiek porządku prawnego który nie byłby

oparty o jakąś koncepcję natury moralnej. Ta prawda o charakterze ogólnym może być wykazana na rozmaitych przykładach, zaczerpniętych z historii.

Moralność starożytnych narodów na przykład, oparta na właściwej dla każdego narodu religii, była dopełniona mniej lub więcej rozwiniętymi systemami prawnymi. Jednakże służyły one za normy postępowania tylko dla tych narodów, natomiast nie posiadały istotnej wartości poza granicami zasięgu religii danego narodu i jego koncepcji moralności. Dopiero chrześcijańskie pojęcie porządku prawnego, wychodzące poza wąskie ramy poszczególnych narodów i powołane do wskazywania drogi wszystkim narodom, wchodzącym w skład wielkiej rodziny chrześcijańskiej, umożliwiło stworzenie zasad nowoczesnego prawa narodów.

Z chwilą gdy się pokusi o zmianę zasad moralności, będących podstawą stosunków między ludźmi, z chwilą próby realizacji powrotu do pogańskich zasad barbarzyńskiego świata, daje się natychmiast zauważyć odbicie tego faktu na samym systemie prawa, które zmienia wtedy swój aspekt, właściwe sobie pojęcia i swoją wartość. Prawo to przestaje stanowić podstawę, pozwalającą zawierać traktaty i dochodzić do porozumienia w stosunkach międzypaństwowych. Wracając do powołanego już powyżej przykładu, podkreślić trzeba nieobliczalne konsekwencje w dziedzinie prawa, powstałe na skutek tych wysiłków polityków reżimu narodowo-socjalistycznego, które miały za zadanie zmianę moralnych podstaw Rzeszy przez oderwanie się od chrześcijaństwa, przez zastąpienie zasady miłości chrześcijańskiej zasadą nienawiści, zasady poszanowania godności ludzkiej — koncepcją elity rządzącej, poszanowanie prawa do życia innych narodów — teorią i praktyką Herrenvolku.

W ten sposób odrzucono teorię praw nabytych, koncepcje równości i bezpieczeństwa prawnego, wytwarzając równocześnie zupełnie mylne pojęcie prawa. Ustalono mianowicie, że wszystko, co jest korzystne dla narodu niemieckiego, ma wartość prawa; wszystko natomiast co interesom tego narodu szkodzi — tym samym koliduje z prawem. Dzięki pojęciom tego rodzaju — Rzesza narodowo-socjalistyczna wyłączyła się sama ze wspólnoty międzynarodowej i usunęła wszelką możliwość zawierania z nią traktatów.

Ale nie tylko doświadczenie historyczne jest zdolne wykazać nam ten ścisły związek między porządkiem moralnym i porządkiem prawnym. Istnienie takiego związku występuje jeszcze bardziej na jaw dzięki samemu pojęciu, odpowiadającemu w sposób logiczny i naturalny każdemu z tych dwóch porządków, opierających się na tych samych zasadach. Oba one należą do kategorii porządku normatywnego. Współczesna szkoła pozytywistyczna usiłowała bezskutecznie oprzeć porządek normatywny bądź na woli państwa, bądź na normie hipotetycznej Kelsena. Konsekwencje takiej teorii są nader opłakane. Wszechwładne państwa lub, co gorzej, ludzie, w rękach których znajduje się władza rządzenia, nie uznają wtedy żadnych granic dla swych kompetencji. Zacytujmy słowa Jego Świętobliwości papieża Piusa XII z listu pasterskiego w Wigilię Bożego Narodzenia 1944 roku:

> „Absolutyzm państwowy (nie należy mylić pojęcia tego absolutyzmu jako takiego z monarchią absolutną, której temat nasz nie dotyka) opiera się faktycznie na mylnej zasadzie, że władza Państwa jest nieograniczona i że nie jest dopuszczalne żadne odwołanie się od niej do prawa wyższego, obowiązującego w sumieniu, nawet gdy państwo to nie hamuje swych dążeń despotycznych, przekraczając granicę dobra i zła".

Porządek moralny i porządek prawny znajdują swe pozytywne uzasadnienie w dwóch koncepcjach, wrodzonych ludzkiej naturze: wolnej woli i rozeznania dobra i zła: w ten sposób porządek prawny oparty jest ściśle na koncepcji dobra absolutnego. Posłuchajmy jak naucza o tym papież Pius XII w swej encyklice Con Sempre:

„Z porządku prawnego, ustawionego przez Boga, wypływa nienaruszalne prawo człowieka do bezpieczeństwa prawnego, a tym samym do konkretnej sfery jego praw, chronionych przed jakiemikolwiek samowolnymi zakusami na nią".

Stwierdziwszy, co jest istotną podstawą prawa oraz jego zależność od pojęcia moralności, rozpatrzmy teraz, jaki jest jego mechanizm w strukturze politycznej wspólnoty narodowej, a szczególnie na terenie międzynarodowym.

Wszelkie życie w obrębie społeczności ludzkiej zawiera przede wszystkim, z punktu widzenia jednostki, pewne ograniczenie wolności człowieka, a z punktu widzenia władzy rządzącej pewien stosunek jej do tej jednostki. Spróbujmy sklasyfikować ustroje polityczne z tego podwójnego punktu widzenia i określić rolę, jaką odgrywa prawo w tych różnych systemach.

Po pierwsze: w systemach przymusu, wśród których należy wymienić reżimy autorytatywne, tzn. absolutyzm, totalitaryzm, dyktaturę — ograniczenie wolności jednostki dokonuje się za pomocą siły względnie prawa będącego litylko instrumentem tej siły, a więc zawsze w drodze przymusu zewnętrznego. Prawo jest tu użyte przeciw słabszemu, który nie może i który nie umie się bronić.

Po drugie: w klasycznych systemach liberalnych jak np. w demokracji liberalnej, w parlamentaryźmie indywidualistycznym (w tej postaci, w jakiej przedstawiały się one jako produkt czystego liberalizmu XIX wieku) ograniczenie wolności osobistej winno być w zasadzie możliwie jak najmniejsze i zgodne z organizacją życia zbiorowego. Ograniczenie to jest wynikiem wolnej gry interesów poszczególnych jednostek: wolność każdej jednostki jest ograniczona jedynie wolnością pozostałych jednostek. Będący w mocy system prawa jest do dyspozycji każdego, kto chciałby skorzystać z niego we własnej obronie lub dla ograniczenia wolności innych. Społeczność jako taka stoi poza tą walką interesów politycznych i ekonomicznych. Tego rodzaju pełne rezerwy stanowisko społeczności i automatyzm wolnej gry sił powoduje, że prawo w tych reżimach politycznych jest wprawdzie w teorii bezstronne, jednakże w praktyce jest użyte znowuż przeciwko słabszemu, przeciwko temu, kto nie dysponuje odpowiednimi środkami, by skutecznie bronić swych praw.

W systemie prawdziwej demokracji chrześcijańskiej, opartej na poszanowaniu osobowości ludzkiej, demokracji personalistycznej prawo ma służyć do ochrony słabszego. Ograniczenie wolności indywidualnej nie powinno wynikać ani z przymusu zewnętrznego, ani z faktu przeciwstawienia się sobie nawzajem sprzecznych interesów poszczególnych jednostek, ale winno być produktem moralnego uświadomienia sobie swych wzajemnych obowiązków przez członków zgranej, zorganizowanej i zrównoważonej społeczności. Jest to wprawdzie tylko idealna wizja takiego właśnie reżimu politycznego, trzeba jednak być idealistą, jeśli się istotnie pragnie zmienić rzeczywistość nieraz tak okrutną i pełną rozczarowań. Reżim polityczny nie może być zbudowany wyłącznie tylko na prawie. Winien on być oparty również na samym człowieku, na jego moralności, wychowaniu, poświęceniu, a szczególnie na jego miłości chrześcijańskiej. W walce o dobro trzeba być silnym i odrzucić wszelką własną słabość.

By oddać wierny obraz demokracji odwołajmy się raz jeszcze do wigilijnego przemówienia Jego Świętobliwości papieża Piusa XII z r. 1944, który mówi:

> „W zdrowej i prawdziwej demokracji obywatele korzystają z dobrych owoców, będących wynikiem ich niezbędnego kontaktu z Państwem. I właśnie badając naturę stosunków, ustanowionych między obywatelami i rządem państwa, rozpoznać można, czy demokracja jest prawdziwie zdrowa i zrównoważona i jaka jest jej siła życia i rozwoju.
>
> Z uwagi na rozległość i naturę poświęceń, wymaganych od wszystkich obywateli — w naszej opoce, gdzie działalność Państwa jest tak rozległa i tak decydująca — forma demokratyczna rządu wydaje się wielu ludziom naturalnym postulatem, narzuconym przez sam rozum. Gdy żąda się „więcej demokracji" i woła się o „lepszą demokrację", takie żądania nie mogą mieć innego znaczenia jak chęć uzyskania tego, by obywatel był coraz więcej w stanie posiadać własne zdanie, móc wypowiadać je i używać w sposób najbardziej odpowiedni dobru powszechnemu.
>
> ... Jak wielki kontrast stanowi z tym obrazem ideału demokratycznego wolności i równości w narodzie, dobrze rządzonym przez ludzi rzetelnych i przewidujących, widowisko jakie daje nam państwo demokratyczne, pozostawione samowoli tłumu! Wolność, która jest zadaniem moralnym osoby, zamienia się w despotyczną rewindykację, w wylew instynktów i apetytów ludzkich z wielką szkodą bliźniego. Równość wyradza się w mechaniczne zniwelowanie i indywidualność w monotonną jednokształtność. Poczucie prawdziwego honoru, działalność osobista, poszanowanie tradycji i godności, jednym słowem wszystko to, co daje życiu jego wartość, tonie powoli i wygasa. Przy życiu pozostają wtedy z jednej strony tylko ofiary oszukane iluzoryczną złudą demokracji, którą naiwnie indentyfikują one z duchem demokracji, wolności i równości, a z drugiej strony ci, mniej lub więcej liczni, którym dzięki potędze pieniędzy i organizacji udało się zapewnić sobie — ze szkodą bliźnich — uprzewilejowane stanowisko lub nawet władzę".

Przenieśmy teraz te rozważania na płaszczyznę społeczności międzynarodowej. Musieliśmy się zatrzymać dłużej nad kilkoma zagadnieniami odnoszącymi się do społeczności narodowej, by móc przystąpić do tych, które dotyczą społeczności międzynarodowej. Aczkolwiek — z punktu widzenia prawa narodów — pojęcie to oznacza zbiorowość państw suwerennych, to przecie składa się ona w istocie swej też z jednostek ludzkich. Jeśli tedy zamierza się zaprowadzić w niej jakieś zmiany, przekształcić ją, zreorganizować — zwrócić się trzeba do żywych ludzi. To oni bowiem stanowią państwa, narody i rządy, to oni są rządzeni. To wszak owi ludzie bronią swych interesów i dążą do zrealizowania swych nadziei, to do nich odnoszą się normy prawne i zasady moralne.

Wróćmy do sprawy ustroju politycznego, występującego w trzech zanalizowanych powyżej typowych formach, a mianowicie: w formie rządów przymusu i siły, których cechą charakterystyczną jest mniej lub więcej zupełna planifikacja, rządów liberalno-indywidualistycznych, połączonych ze zjawiskiem wolnej gry automatyzmu politycznego i ekonomicznego, wreszcie rządów prawdziwej demokracji, opartej na głębokim poszanowaniu jednostki ludzkiej, natury człowieka i jego aspiracji do ideału dobra absolutnego.

W ustrojach pierwszego typu prawo sprowadzone jest — jak to już wiemy — do roli instrumentu ucisku; w ustrojach typu liberalnego, kapitalistycznego i pseudodemokratycznego, rola prawa streszcza się w ochronie istniejącej różnorodności interesów ludzkich, co w praktyce stwarza warunki ochrony przede wszystkim interesów jednostek silniejszych. W prawdziwej natomiast demokracji, zorganizowanej i personalistycznej, szczytnym zadaniem prawa jest obrona słabszego. Także w dziedzinie życia między narodami istnieją trzy możliwości zorganizowania ludzkiej społeczności.

Prawo silniejszego może być zastosowane do narodów, które dobrowolnie lub pod przymusem poddały się porządkowi ustanowionemu przez państwo najsilniejsze, strzegące go i gwarantujące jego istnienie w życiu międzynarodowym. To prymitywne rozwiązanie, oparte na sile względnie nawet na prawie, będącym atoli jedynie narzędziem tej siły — jest możliwe do zastosowania wyłącznie w wypadku, gdy państwo o którym mowa, dysponuje niezaprzeczalną wyższością kulturalną i militarną w stosunku do innych państw, które zmuszone są wtedy do uznania porządku, ustanowionego przez władzę zdobywcy. Świat starożytny daje nam przykłady tego rodzaju mniej lub więcej stałej powszechnej organizacji. Imperium rzymskiemu udało się nawet zapewnić istnienie stosunkowo stałej organizacji, opartej na jedności politycznej i kulturalnej narodów, żyjących w tej społeczności, względnie od niej zależnych. W ostatnich czasach byliśmy świadkami usiłowań tzw. „Herrenvolku" zaprowadzenia dla własnych korzyści rzekomego nowego ładu, który wstrząsnął Europą, burząc ją i zatapiając naszą kulturę w potokach krwi. Kraje, które zostały wciągnięte do wojny, odczuwają odrazę do tego rodzaju międzynarodowej społeczności; odzwierciadla ona właściwą imperializmowi zasadę panowania jednych, a zależności drugich, zasadę wielkich „przestrzeni życiowych", zasadę supernacjonalizmu. Społeczności narodowe totalitarne i autorytatywne podporządkowują sobie obywatela oraz stosują w organizacji międzynarodowej nieubłagany imperializm, dążący do narzucenia wolnym narodom pęt niewolnictwa.

Przejdźmy skolei do rządów demokratycznych, parlamentarnych i liberalnych, jakie istniały mianowicie w XIX wieku i przetrwały do czasu pierwszej wojny światowej. Formą prawną odpowiadającą tym reżimom w dziedzinie międzynarodowej jest prawo narodów w swojej postaci tradycjonalnej z wolną grą politycznych i ekonomicznych interesów wielkich i małych narodów, z tradycyjną równowagą sił, chwiejną zresztą, gwarantującą pewną wolność i pewną niezależność małym i średnim państwom, gdy umieją one wykorzystać rywalizację istniejącą między mocarstwami. Prawo formalne dość ograniczone w treści swych norm, służy jako podstawa stosunków międzynarodowych, nie mogąc jednak zapobiec wielkim konfliktom, ani zapewnić skutecznej ochrony dla tych, którzy nie dysponują dostatecznymi własnymi siłami dla swej obrony.

Demokracji prawdziwej, tej o której już była mowa — w której człowiek jako taki, nie jest bynajmniej przedmiotem lub biernym elementem życia społecznego lecz, wręcz odwrotnie, jest tego życia podmiotem, podstawą i celem — temu rodzajowi demokracji, do której dąży świat cywilizowany, odpowiadać musi zgodna z jej istotą również i organizacja społeczności międzynarodowej. To też przeprowadzono już konkretne próby stworzenia społeczności takiego właśnie rodzaju: do nich należy wysunięcie zasady, uznającej prawo samostanowienia narodów, stworzenie Ligi Narodów, ustanowienia międzynarodowego sądownictwa, przyjęcie zobowiązań wykluczenia wojny, jako narzędzia polityki narodowej, wreszcie wszystkie wysiłki, zmierzające do zdefiniowania pojęcia napastnika. Wszystkie te środki, mimo że nie okazały się dostatecznie skuteczne, by ochronić ludzkość i pokój przed użyciem siły, dowiodły jednak istnienia szlachetnej i stałej woli zapewnienia sprawiedliwości i pokoju. Czyż należy zwątpić już w postęp i ostateczny triumf samej idei, patrząc na te wszystkie porażki jakich doznała akcja zapewnienia społeczności międzynarodowej lepszej organizacji? Na pewno nie! Trzeba jednak skorzystać z nauki, którą daje nam przeszłość, zmienić te koncepcje, które okazały się błędne

i wytrwać w dążeniu do tego osiągnięcia od którego uzależnione są losy naszej kultury i naszej cywilizacji.

Jakież są powody wojny, która rozpoczęła się aktem nieubłaganej agresji i była prowadzona za pomocą wszelkich środków totalitarnych przeciwko państwom, narodom, przeciwko ludności cywilnej, kobietom i dzieciom?

Nie chodzi tu o ustalenie odpowiedzialności za napaść, dokonaną wbrew wszelkim zobowiązaniom dobrowolnie przyjętym. Nie ma bowiem co do tego żadnych wątpliwości i wszelka dyskusja na ten temat jest zbędna. Jest natomiast interesujące zdać sobie sprawę z niektórych czynników w życiu społeczności międzynarodowej, które właśnie pozwoliły na dokonanie tego zamachu na wolność narodów i na podbijanie ich jeden po drugim, przy równoczesnym rozpętaniu wszelkich mocy zła, publicznie i otwarcie gromadzonych w okresie między dwiema wojnami. Nie mogąc do głębi analizować na tym miejscu wszystkich tych czynników, wymieńmy kilka z nich tylko. Na skutek istniejącego braku równowagi w stosunku między reżimami demokratycznymi i liberalnymi, a reżimami totalitarnymi — te ostatnie zdobyły sobie niezaprzeczalną przewagę jeśli chodzi o rozpoczęcie i prowadzenie wojny i potrafiły tę przewagę w dużej mierze wykorzystać. Należy też uprzytomnić sobie, iż wytworzył się brak proporcji między obietnicami, które każdy dyktator składa i składać musi, by uzyskać popularność, a środkami i możliwościami, jakimi dysponuje on, by móc uczynić zadość życzeniom i ambicjom i rozbudzonym przez siebie nadziejom bez uciekania się do wojny agresywnej w celu zdobycia większej przestrzeni życiowej. Doktryna supernacjonalizmu, oparta na nienawiści rasowej i na kulcie siły, staje się w ten sposób nowym czynnikiem wojny.

Oprócz tych czynników, które spowodowały agresję, trzeba przytoczyć inne, które na nią pozwoliły: wymienić tu należy koncepcję biernego pacyfizmu, źle zrozumianego rozbrojenia, brak prawdziwej solidarności międzynarodowej i brak podstawy moralnej życia międzynarodowego. Pacyfizm, będąc koncepcją bardzo szlachetną i bardzo godną, może, gdy jest źle pojęty, kryć w sobie niedołęstwo woli lub czysty egoizm, który pozwala na zupełną obojętność wobec nieszczęść dotykających bliźniego. Dlatego też mianem pacyfizmu biernego nazwać możnaby tę postawę duchową przy której woli się zła i gwałtu nie dostrzegać, przy której nie chce się lub nie może na nie reagować i która tym samym, właśnie dlatego, że jest bierna, ułatwia agresję i wojnę.

Z punktu widzenia dobrze pojętej międzynarodowej solidarności ten, który ma środki, aby przeszkodzić złu, względnie winien je mieć z uwagi na jego sytuację ekonomiczną i polityczną, a nie reaguje na zachodzący wypadek gwałtu — ten staje się współodpowiedzialnym za popełnione zło.

Przed ostatnią wojną świat nie rozumiał istoty tej prawdziwej solidarności międzynarodowej, nie rozumiał, że zagadnienie pokoju jest zagadnieniem niepodzielnym, że wojen nie można zlokalizować w jakiejś ograniczonej przestrzeni, lub choćby nawet na jednym tylko kontynencie, że zarówno polityka izolacjonizmu insularnego Wielkiej Brytanii, jak też polityka izolacjonizmu kontynentalnego Stanów Zjednoczonych są sprzeczne z solidarnością międzynarodową i że winnyby one należeć już do przeszłości.

W ten sam sposób przedstawia się problem rozbrojenia: idea rozbrojenia, o ile wyraża się zarówno jak i idea pacyfizmu litylko w biernej postawie duchowej, a zastosowuje wyłącznie do narodów miłujących pokój — jest najzupełniej daleka od sprawy służenia pokojowi i raczej ułatwia wojnę agrysywną.

Po omówieniu czynników, które spowodowały wojnę i czynników, które ją umożliwiły, przejdźmy wreszcie do czynników, które nie potrafiły wybuchowi jej zapobiec: wymienić tu trzeba te wszystkie instrumenty organizacji międzynarodowej, które okazały się nieskuteczne, niewystarczające dla wypełnienia właściwego swych zadań wbrew pokładanym nadziejom; nieskuteczność ta i niewystarczalność przejawiła się w brakach, jakie uwidocznione zostały w systemie norm prawa narodów, w procedurze pokojowego załatwiania sporów międzynarodowych, w rzeczywistym braku bezpieczeństwa prawnego w stosunkach międzynarodowych i w pożałowania godnym braku zorganizowanej siły, któraby gwarantować mogła dotrzymanie zawartych umów. Szczegółowa analiza tych trzech grup czynników, które odegrały decydującą rolę w historii ostatniej wojny, wykazuje jasno jakie kroki należy przedsięwziąć, by ulepszyć organizację społeczności międzynarodowej.

Prof. Dr Antoni Deryng

Karawana filozofów

Człowiek stąpa świętokradzko
Depcząc piasek ziemi świętej.
Muły ciągną karawaną,
Niosą grzbiety trudem zgięte.

Obok psy zgłodniałe krążą,
Powtarzają zgodnym chórem:
„W górę wznośmy głodne pyski,
Nam, cóż? — Koniec niedaleki,
Wam, cóż? — Także koniec bliski!“

Biały piasek świętej ziemi
Przeznaczenia świeci śladem.
— Wnet zasypie po nas cienie —
Święty piasek. Cienie blade!

Krzysztof Jałowiec

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

Tajga

1. Biegiem!

Przeklęte bale

diabeł w niebieskiej czapce w głąb tajgi zarył,

— kolej, psiakrew...

Las naśmiewa się z diabła:

— ile mi ty tego ukradłeś?...

Nam — śmiać się nie wypada,

skaczemy po tych balach na diabli rozkaz

codzień —

gromadą.

Rozsypały się ściegiem,

drepcz z jednego na drugi...

Śmieją się czarcie sługi:

— Biegiem!

Biegiem!

Biegiem!

Krok każdy w mózg się wwierca,

każdy ścieg toru równy szybkiemu ściegowi serca.

Mają dosyć czarci zabawy:

— Marrsz, marszz!

— Zobaczycie swoją lwowską ulicę!

Ktoś jęknął, ktoś zakrzyczał,

Ktoś został tam gdzie stał.

Po nieczesanej grzywie lasu —

basem —

huknął

strzał.

2. Śmierć

Rąbać drzewo — nie łatwo,
tylko że trzeba...
(Czy pamiętasz bajki o drwalach
z dziecięcych lat...)
A tu właśnie w drwala, kiepskiego drwala,
konar podcięty spadł, —
zakołysało się niebo, —
to ten konar
mi — niebo
na głowę zwalił.

Silę się wstać ze śniegu, —
pajac z pękniętą sprężyną, kluczę co krok,
wbijam w białość, śmiertelną białość, bezmyślny wzrok,
ląduję na jakimś brzegu...

Kto wie co się właściwie stało...
Czemu jest tak czerwono,
gdy było —
biało...

Ach, to — dom. W znajome czerwone tapety pokój.
Telefon. Muszę nakręcić numer.
Aby dać ci, o miła, znać,
tobie... dać... znać...
żem — umarł.

Jerzy Dołęga-Kowalewski

DR TADEUSZ STARK

Geo-demografia Polski w świetle spisu ludności z 1946 r.

1. Ogólna liczba ludności Polski z początkiem r. 1946. 2. Straty Polski w ludności w latach 1939—1946. 3. Powierzchnia Polski oraz obecne granice. 4. Podział kraju na województwa (ludność i obszar). 5. Ludność miejska i wiejska. 6. Wnioski końcowe.

W wyniku olbrzymich strat wojennych oraz ostatnich zmian terytorialnych, oblicze geograficzne i demograficzne Polski uległo zupełnemu przeobrażeniu w stosunku do stanu przedwojennego z roku 1939. Przeprowadzony w lutym br. ostatni spis ludności w Polsce, którego wyniki są na razie tylko częściowo znane z prasy, pozwala nam zorientować się w doniosłych zmianach dotyczących liczby ludności, oraz uprzytomnić sobie, jak głęboko zmiany te sięgają. Obraz całości uzupełniają inne materiały, zamieszczane tu i ówdzie w czasopismach polskich, oraz nowowydane w Polsce w 1945 r. mapy: Henryka Wierzbowskiego (w skali 1 : 1.200.000, Wydawnictwo „Przełom", Kraków, Karmelicka 6) oraz mapa Wojskowego Instytutu Geograficznego z r. 1945 (skala 1 : 1.000.000). Aczkolwiek stan dzisiejszy jest nadal jeszcze płynny i procesy ludnościowe oraz terytorialne nie zostały całkowicie ustabilizowane, możemy wyciągnąć już pewne wnioski co do geo-demograficznego oblicza współczesnej Polski.

Ogólna liczba ludności Polski z początkiem 1946 r.

W dniu 14 lutego 1946 r. ludność Polski liczyła 23.622.334 osób, na podstawie przeprowadzonego w Polsce spisu ludności. Cyfrą tą nie zostało objęte wojsko, korpus bezpieczeństwa oraz więźniowie. Nie wliczono tu nadto Niemców pozostających na nowowłączonych ziemiach zachodnich w liczbie ponad dwa miliony, którzy mieli opuścić niebawem terytorium Polski.

Powyższa cyfra stanowi, w porównaniu do liczby ludności Polski w dniu 1 września 1939 r. (pierwszy dzień wojny), oszacowanej na 35.399.000 osób, ubytek przeszło 11 milionów mieszkańców Polski. Jest to ilość olbrzymia, z której dopiero zdamy sobie sprawę, gdy porównamy ją z liczbą ludności w ciągu 20-lecia niepodległości polskiej od 1919 do 1939: wykazana przez spis cyfra 23.622.334 mieszkańców Polski jest olbrzymim krokiem wstecz daleko przed powyższy okres, gdyż już w roku 1919 ludność Polski liczyła 26.282.290 osób, czyli przeszło o 2,5 miliona więcej. Znaleźliśmy się zatem obecnie w stanie gorszym ludnościowo niż po pierwszej wojnie światowej.

W roku 1939 Polska zajmowała co do liczby mieszkańców szóste miejsce w Europie, stojąc za Rosją (1937 — 175.000.000), Niemcami (1939 — 79.800.000), W. Brytanią (1938 — 46.200.000), Włochami (1939 — 43.509.000), oraz Francją (1938 — 41.980.000). Obecnie Polska schodzi pod tym względem na 7 miejsce w Europie, gdyż Hiszpania w roku 1941 liczyła już 26.222.424

mieszkańców. Tuż za Polską stoi Jugosławia, która jeszcze w grudniu 1937 r. liczyła tylko 15.400.800 ludzi, a dziś na pewno zbliża się do 19 milionów, mimo półtora milionowej straty ludności w czasie obecnej wojny.

Gęstość zaludnienia w Polsce wynosi według nowego spisu ludności 75 mieszkańców na 1 km². W porównaniu do roku 1939 stanowi to ubytek 15 ludzi na 1 km², gdyż w roku tym gęstość zaludnienia wynosiła 90 na km². Pod względem gęstości Polska stała przed wojną na 9 miejscu w Europie, dziś znajduje się na 11 miejscu.

Straty Polski w ludności w latach 1939—1946.

Jeśli wykazaliśmy powyżej, że według spisu ludnościowego z obecnego roku cyfra ludności Polski jest w porównaniu do roku 1939 mniejszą o przeszło 11 milionów osób, nie znaczy to jednak, by była to ostateczna ilość strat ludnościowych Polski w latach wojennych do roku 1946. Do dnia przeprowadzenia spisu nie została przede wszystkim ukończona repatriacja spoza linii Curzona oraz z Rosji, a nadto w pełnym biegu była repatriacja z Zachodu, głównie z Niemiec. Można przypuszczać, że ogólna ilość strat ludnościowych polskich w latach 1939 — 1946 będzie w ostatecznym rachunku wahać się w granicach 9,5—10 milionów ludzi. Jest to już sama w sobie cyfra bardzo wymowna.

Na cyfrę 11 milionów wynikłą z porównania stanu ludności w 1939 a 1946 składają się: 1) straty wojenne w ścisłym znaczeniu, 2) ofiary niemieckich obozów koncentracyjnych, 3) egzekucje w kraju, 4) deportacje do Niemiec, 5) deportacje do Rosji do roku 1942, 6) strata ludności na wschód od linii Curzona, 7) zmarli w czasie wojny na skutek złego odżywiania się, przymusowych przesiedleń, zwiększenia się chorób zakaźnych, 8) emigracja polityczna, dotychczas pozostająca poza granicami. Część tej cyfry da się oczywiście odzyskać, wykazując w ostatecznym rachunku straty 9,5—10 milionów.

Co do pierwszych trzech punktów tj. strat wojennych Polski w zabitych, ofiarach obozów koncentracyjnych oraz w rozstrzelanych w kraju, to cyfra ta może być podana jedynie szacunkowo. Ostatnio „International Committee for the Study of European Questions" ogłosił obliczenie tych trzech rodzajów strat, podając cyfry dla każdego kraju, biorącego udział w wojnie. Polska jest tu wymieniona na pierwszym miejscu, ze stratą 13,6% swej ludności, tj. 4.620.000 osób. Na drugim miejscu znajduje się Jugosławia ze stratą 10,5% tj. 1.680.000 osób, dalej Grecja (6,8%), Rosja (3,7%), Holandia (2,2%), Francja (2%), Belgia (1,5%) oraz Czechosłowacja (1,25%). W sumie we wszystkich krajach okupowanych przez Niemców zginęło 15 milionów osób. Straty samej Polski równają się prawie 1/3 wszystkich strat. Naszym zdaniem, cyfrę tę należy odnośnie Polski powiększyć o zmarłych na skutek celowego złego odżywiania ludności przez Niemców, częste przerzucanie i wysiedlania oraz niedostateczne zapobieganie chorobom zakaźnym (punkt 7). Przekroczy ona w ten sposób znacznie 5 milionów osób.

Deportacje do Niemiec (punkt 4) wynosiły w sumie 1 do 1,5 miliona osób. Z liczby tej około 700.000 Polaków znalazło się z chwilą uwolnienia przez wojska alianckie w zachodnich strefach Niemiec. Według sprawozdania Unrry, Central H. Q. of German Reports and Analysis Branch, zamieszczonego

w nr 10 „Unrra Team News“ z 1 maja 1946, cyfry pozostających dotąd w Niemczech polskich wysiedleńców (tzw. D. P. = displaced persons) są następujące:

strefa brytyjska	— 274.151	Polaków
strefa francuska	— 43.249	„
strefa amerykańska	— 167.208	„

W sumie daje to liczbę *484.608* polskich wysiedleńców, którzy do maja br. nie wrócili do Polski i pozostawali w Niemczech.

Według tego samego sprawozdania, do 1 maja br. wróciło dotąd do Polski ze wszystkich stref w Niemczech *89.685* Polaków, a mianowicie 66.885 z strefy brytyjskiej, 4.068 z francuskiej i 18.732 ze strefy amerykańskiej. Z cyfry tej część objęta już została spisem ludności w Polsce, tj. wszyscy ci, którzy wrócili przed lutym 1946, reszta zwiększy odpowiednio liczbę 23.622.334 ludności Polski po powrocie do kraju.

Jeśli chodzi o deportacje do Rosji (punkt 5) oraz stratę ludności polskiej na wschód od linii Curzona (punkt 6), to z braku ściślejszych danych, nie da się ich dziś cyfrowo dokładnie ustalić. Wywiezionych do Rosji podaje A. Plutyński, w swej książce na temat Europy środkowo-wschodniej pt. „Jest nas 115 milionów“, na 1.200.000 osób. Z tej ilości pewna nieznaczna część znalazła się następnie w armii Andersa oraz w obozach cywilnych w Iranie, a potem w Palestynie, Egipcie oraz Afryce południowej i wschodniej. Już po dacie spisu ludności, nr 69 „Kuriera Zachodniego“, ukazującego się w Katowicach, donosił w dniu 11 marca 1946, że w marcu i kwietniu br. były oczekiwane 383 transporty repatriantów z ZSRR. Miały one objąć Polaków z Kaukazu, z obwodów Krasnojarsk, Irkuck, Ałtaj oraz z europejskich części ZSRR, a nadto z północnego Kazachstanu. Czwartego marca miał wyjechać transport repatriantów ze stolicy Gruzji, Tyflisu. Inne pismo polskie, nr 12 „Sztandaru chłopskiego“ (pismo Stronnictwa Ludowego) z dnia 23 marca br. podało, że w marcu miało przybyć z Rosji do Polski 300.000 osób, a nadto z ziem poza linią Curzona miano przesiedlić około 900.000 ludzi. Wynikałoby z tego, że już po dokonaniu spisu, przybyło ze wschodu razem 1.200.000 osób spoza linii Curzona oraz z głębi Rosji.

Poza cyfrą ogólną Polaków w kraju pozostają dotychczas emigranci polityczni (punkt 8) w takich krajach jak Włochy, Anglia, Francja, Szwajcaria itd. Z góry należy przyjąć jednak, ze z kategorii tej część w ogóle nie wróci do Polski, udając się do zamorskich ośrodków emigracyjnych w Stanach, Kanadzie, Brazylii i Argentynie.

Powierzchnia Polski oraz obecne granice.

Powierzchnia państwa polskiego w r. 1939 wynosiła 388.634 km². Obecnie w ramach prowizorycznie ustalonych granic, powierzchnia Polski wynosi 312.907 km², czyli ubytek równa się 75.727 km². Na wschodzie odeszło 180.000 km², natomiast na zachodzie przyłączono 104.680 km² powierzchni. Nowoprzyłączone ziemie zachodnie stanowią więc niecałe 33% powierzchni Polski obecnej, natomiast 67% zajmują ziemie dawne (208.227 km²).

Wielkością swego obszaru Polska zajmowała przed wojną 6 miejsce w Europie po Rosji europejskiej (5.999.000 km²), Niemczech (555.000 km²), Francji (551.000 km²), Hiszpanii (505.000 km²) oraz Szwecji (449.000 km²).

Dziś Polska schodzi na 8 miejsce, gdyż dochodzą do tego Finlandia (383.000 km²) oraz Norwegia (323.000 km²). Bardzo blisko Polski stoją Włochy, liczące 310.000 km² (w granicach przedwojennych) oraz Rumunia (295.000 km²). Po ewentualnych rektyfikacjach granic na najbliższej konferencji pokojowej może okazać się, że Polska stoi co do powierzchni na 10-tym miejscu w Europie.

Przesunięcie całej powierzchni Polski na zachód spowodowało ważne zmiany w granicach kraju. O ile przed wojną graniczyliśmy z 7 państwami, obecnie odpadły granice z Węgrami, Rumunią, Litwą, Łotwą i Gdańskiem, czyli graniczymy jedynie z 3 państwami: Niemcami, Czechosłowacją i Rosją.

Granice obecne biegną następująco:

Granica północna — od Świnoujścia granica przebiega brzegiem morza do ujścia rzeki Pasłęki w Prusach. Od tego miejsca, na północ od Brunsbergu (Braniewo), przechodzi przez Stablack i Schönbruch, pozostawiając Iławkę po stronie rosyjskiej. Miejscowość Węgobork i Gołdap leżą po stronie polskiej i tu linia graniczna dobiega do dawnej naszej granicy, którą biegnie do Trakiszek (po stronie polskiej leżą Przerośl i Szypliszki). Linia Brunsberg-Gołdap jest mniej więcej równoległą do linii kolejowej Elbląg-Orneta-Licbark-Rastembork-Lec-Ełk.

Granica wschodnia — można ją podzielić na następujące odcinki: 1) Trakiszki-Grodno (to ostatnie należy do ZSRR.). Po stronie polskiej zostały: Smolany, Sejny, Giby, Kalety, Rudawka, Sopotkinie, Hołynka i Nowy Dwór. 2) Grodno-Niemirów nad Bugiem, po naszej stronie leżą: Sokółka, Białystok i linia kolejowa Białystok-Gródek (stacja graniczna), Narew, potem lekkie wygięcie, obejmujące Narewkę Małą, Hajnówkę, Białowieżę oraz Kamienniki do Czeremchy, stąd granica idzie na wschód od linii kolejowej Nurzec, dochodząc do Niemirowa. Po stronie rosyjskiej leżą: Swisłocz, Szereszów, Kamieniec Litewski, Wierchocice, Wysokie Litewskie i Wołczyn. 3) Niemirów-Sokal-Krystynopol, granica posuwa się tu wzdłuż Bugu, pozostawiając po stronie polskiej: Białą Podlaską, Włodawę, Chełm, Dubienkę, Hrubieszów i Tomaszów Lubelski. 4) Krystynopol-Przemyśl: granica na tym odcinku cofa się przez Bełz do Bełżca, potem zwraca się na południe, pozostawiając Rawę Ruską z tamtej strony. Lubaczów pozostaje ze strony polskiej, podobnie jak Wielkie Oczy, Sośnica i Medyka (linia kolejowa z Przemyśla). Po stronie sowieckiej leżą: Jaworów, Krakowiec, Czerniawa i Mościska. 5) Przemyśl-Przełęcz Użocka, 889 m. Po stronie polskiej pozostały: Kalwaria Pacławska, Lesko, Bóbrka, Gorzanka i Dwernik, z drugiej strony: Chyrów, Stary Sambor, Ustrzyki Dolne, Lutowiska, Smolnik i Turka.

Granica południowa — granica ta pozostała bez zmian, z wyjątkiem odcinka cieszyńskiego, który dotąd nie został ustalony.

Granica zachodnia — od Bogumina granica ta biegnie dawną linią graniczną niemiecko-czeską. Po dojściu do Nissy łużyckiej zwraca się ku północy (mniej więcej na wysokości Zgorzelca (niem. Görlitz) i biegnie w dół rzeki, potem zaś wzdłuż Odry do Świnoujścia.

Warto zaznaczyć, że na cytowanych mapach zniknęły zupełnie dawne nazwy niemieckie miejscowości. I tak, zamiast Hirschberg figuruje Jelenia Góra, Waldenburg-Wałbrzych, Schweidnitz-Świdnica, Reichenbach-Rychbach, Strehlen-Strzelin, Kolberg-Kołobrzeg, Köslin-Koszalin, Küstrin-Kobyla Góra, Neusalz-Nowa Sól, Sagan-Żegań, Stolp-Słupsk itd.

Na ziemiach dawnych mieszka ogółem 18.609.624 mieszkańców, na nowoprzyłączonych ziemiach zachodnich 5.012.410 osób. Według cytowanego powyżej „Sztandaru chłopskiego", najbardziej zaludnione na Dolnym Śląsku są powiaty Jelenia Góra, Kamienna Góra oraz Wałbrzych. Z przeludnionych miast wymienia się Kładzko oraz Olsztyn (Allenstein). Większość osadników stanowią nie repatrianci, lecz ludność z ziem centralnych i wschodnich.

Podział kraju na województwa (ludność i obszar).

Polska dzieli się dziś na 15 województw: warszawskie, łódzkie, kieleckie, lubelskie, białostockie, olsztyńskie (Mazury), gdańskie, pomorskie, szczecińskie (dawny okręg Pomorze Zachodnie), poznańskie, wrocławskie (dawny okręg Śląsk Dolny), śląsko-dąbrowskie, opolskie, krakowskie i rzeszowskie (część dawnego województwa lwowskiego).

Ludnościowo największym ze wszystkich województw w Polsce jest województwo poznańskie, gdyż ludność jego liczy 2.242.78 osób. Na drugim miejscu stoi woj. krakowskie z 2.129.535, a na trzecim warszawskie z 2.115.552 osobami. Nowoprzyłączone województwo wrocławskie (Śląsk Dolny) figuruje w spisie ludności z lutego br. na 4-tym miejscu (1.930.496), poczem idą lubelskie (1.873.113), łódzkie (1.773.232), kieleckie (1.717.672), śląsko-dąbrowskie (1.632.961), rzeszowskie (1.537.466), pomorskie (1.463.139), oraz opolskie (Śląsk Opolski) (1.183.787). Poniżej miliona mieszkańców mają: województwo gdańskie (967.062), białostockie (950.477), szczecińskie (597.868) oraz najmniejsze województwo olsztyńskie (Mazury) (352.497) osób. Należy zaznaczyć, że już po przeprowadzeniu spisu ludnościowego dokonano niektórych zmian w granicach województw. Szczególnie do woj. szczecińskiego, obejmującego dotychczasowy okręg administracyjny Pomorza Zachodniego, dodano 4 powiaty z woj. pomorskiego. Równocześnie zaś złączono niektóre powiaty z obszaru ziem nowoprzyłączonych do województwa białostockiego, poznańskiego, gdańskiego i śląskiego. W samym spisie woj. szczecińskie figuruje jako okręg Pomorza Zachodniego, olsztyńskie jako Mazury, a woj. wrocławskie jako okręg Śląska Dolnego.

Co do powierzchni największe jest również woj. poznańskie (39.228 km²), nieco mniejsze od Szwajcarii, która liczy 41.000 km², a większe od Belgii i Holandii.

Na drugim miejscu co do wielkości stoi wśród województw woj. warszawskie — 28.973 km², potem zaś idą: woj. lubelskie — 27.636, wrocławskie — 24.497, i białostockie — 23.059. Trzy województwa północne posiadają obszar w granicach 20—23 tys. km², tj. pomorskie — 22.723, szczecińskie — 21.648, a mazurskie — 20.857 km². Dwa województwa środkowe, łódzkie i kieleckie posiadają kolejno 20.389 km² i 18.034 km² obszaru.

Najmniejszymi powierzchniowo województwami w Polsce są: rzeszowskie — 17.978 km², gdańskie — 16.406, krakowskie – 15.686, opolskie — 9.392 oraz śląskie — 5.998 km².

Jeśli porównamy powierzchnię z ludnością poszczególnych województw, to otrzymamy, że w województwach dawnych na 1 km² przypada 89 mieszkańców, w woj. zaś przyłączonych gęstość wynosi 48 ludzi na 1 km². Nowe ziemie są więc jeszcze dalekie od normalnego zaludnienia. Najmniejsza gęstość zanotowana jest w woj. olsztyńskim (17 ludzi na km²) oraz szczecińskim (28 na

km^2). Gęstość zaludnienia w tych dwóch województwach jest mniejsza, niż była na Polesiu według spisu z 1931 r., który co do tej części wykazywał 31 ludzi na km^2.

Ludność miejska i wiejska.

Jedną z najciekawszych zmian jakie zaszły w czasie tej wojny w stanie ludnościowym Polski jest wybitne przesunięcie na rzecz ludności miejskiej. Z ogólnej cyfry 23.622.334 ludności Polski, 7.412.000 przypada na miasta (31%), a na ludność wiejską 16.210.334 (69%). W ostatnim spisie ludnościowym z r. 1931 stosunek tych cyfr wynosił 8.791.900 do 23.123.900, widoczny więc z tego jest wyraźny wzrost na rzecz ludności miejskiej. Ludność miejska jest najliczniejsza w województwach poznańskim, wrocławskim, opolskim oraz pomorskim. Najbardziej wiejskie są cyfrowo woj. warszawskie, lubelskie oraz łódzkie.

Największym miastem Polski jest według spisu ludnościowego z lutego br. Łódź. Miasto to liczy 496.861 mieszkańców i przewyższa o 20.000 Warszawę, która zajmuje drugie miejsce co do wielkości (476.539 mieszkańców). Upływ kilku miesięcy od daty spisu wystarczył jednak, by wysunąć na pierwsze miejsce znów Warszawę, która w maju 1946 przekroczyła liczbę 500.000 mieszkańców. W stosunku do cyfr przedwojennych Łódź utraciła w czasie wojny około 150.000 mieszkańców, gdyż już w roku 1931 liczyła 604.600 mieszkańców. Straty Warszawy są jeszcze większe, gdyż wynoszą około 2/3 dawnej liczby mieszkańców. Według ogłoszonego ostatnio sprawozdania Czerwonego Krzyża, w Warszawie zginęło w latach 1939—45 spośród stałych mieszkańców 665.000 osób. W cyfrze tej zawartych jest m. in. 400.000 Żydów, 180.000 Polaków zabitych w powstaniu warszawskim w roku 1944, 70.000 Polaków „zlikwidowanych" w okresie 1939—1945 przez Gestapo oraz 6.000 zmarłych na skutek szerzących się chorób lub z przyczyn naturalnych. Cyfra ta nie obejmuje Żydów przywiezionych do Warszawy z innych krajów europejskich, regularnych wojsk polskich w czasie walk oraz wysiedleńców z Warszawy. Całość strat zabitych w Warszawie oblicza wspomniane sprawozdanie Cz. Krzyża na blisko 1 milion osób, co jest cyfrą mówiącą samą za siebie.

W składzie jakościowym Warszawy uderzająca jest znaczna ilość kobiet, których jest o 82.000 więcej niż mężczyzn.

Na trzecim miejscu co do wielkości miast stoi Kraków — 300.000 mieszkańców, wykazujący co do liczby z ostatniego spisu przedwojennego wzrost o 80.000 mieszkańców, a w stosunku do r. 1939 o ok. 40.000.

Ponad 100.000 mieszkańców liczy w Polsce 10 miast. Są to prócz trzech wymienionych powyżej: Poznań — 268.000, Wrocław — 168.000, Bydgoszcz — 134.000, Katowice — 128.000, Gdańsk — 118.000, Chorzów — 103.000 i Częstochowa — 101.000. Wszystkie te miasta leżą na zachodzie Polski. W roku 1939 Polska liczyła 13 miast ponad 100.000, dziś odpadły: Lwów, Wilno, a nadto wybitnie spadła ilość mieszkańców Sosnowca (dziś 78.000 w r. 1939 — 125.000), Lublina (dziś 98.000, w r. 1939 — 120.000) oraz Gdyni (dziś 79.000 — w r. 1939 — 117.000 mieszkańców). Przybyły natomiast 2 duże miasta nowe: Wrocław i Gdańsk.

Z nowych miast większych na zachodzie należy wymienić: Gliwice — 96.000, Bytom — 93.000, Szczecin — 74.000 oraz Wałbrzych — 73.000.

Największą gęstość zaludnienia spośród miast polskich posiada dziś Łódź — 8.567 mieszk. na 1 km^2, oraz Warszawa — 3.380 mieszk. na km^2.

Wnioski końcowe.

Jak wynika z niniejszego omówienia prowizorycznych wyników spisu ludnościowego w Polsce z 14 lutego 1946, Polska na skutek wojny straciła: 1) co do obszaru — 75.727 km^2 2) co do ludności — około 9,5—10 milionów mieszkańców. Sama stolica Polski utraciła w latach 1939—46 blisko 1 milion osób. Poza powyższymi „ilościowymi" stratami, nie należy zapominać o olbrzymim ubytku „jakościowym", tj. strasznym wyniszczeniu w szeregach inteligencji. Straty te nie dadzą się jeszcze dziś obliczyć cyfrowo, nie ulega jednak wątpliwości, że są olbrzymie.

Pewnym plusem nowej sytuacji, nie wynagradzającym jednak zupełnie strat, jest ujednolicenie narodowościowe oraz religijne kraju. Co do obcych narodowości, było w Polsce przed wojną około 30% mniejszości, obecnie cyfra ta po opuszczeniu Polski przez Niemców, nie będzie dosięgać 0,5 miliona, głównie Ukraińców. Jeśli chodzi o strukturę wyznaniową, to Polska staje się religijnie więcej jednolita, tj. przeważnie rzymsko-katolicka. Odpada m. inn. większość protestantów (z wyj. Śląska Cieszyńskiego, gdzie część ludności polskiej jest wyznania protestanckiego), greko-katolików oraz Żydów.

Nieznany jest dotąd przyrost ludności w Polsce, jest jednak wątpliwe by był on znaczny, wobec warunków ekonomicznych. Będzie on bez wątpienia wzrastał. Już ostatnie wiadomości z Niemiec donoszą, że uchodźcy polscy w Niemczech wykazują największy odsetek urodzin wśród wysiedleńców w Niemczech tj. 43 pro mille, jest to najwyższa cyfra urodzin zanotowana w bieżącym roku w Europie. Przed wojną w Polsce, liczba urodzin osiągnęła maximum w r. 1923, wykazując 35,6 urodzin na 1000, a w r. 1938 pro mille ten wynosił 24,6. Wzrost jest zatem uderzający, zwłaszcza jeśli porównamy go z danymi zagranicznymi: w roku 1938 największy pro mille osiągnęła Rumunia (29,7), Włochy (23,6), Bułgaria (22,4) i Holandia (20,5). W Wielkiej Brytanii przyrost równał się w tymże roku 15,1, we Francji 14,6, natomiast w Stanach Zjednoczonych w r. 1935 — 16,9.

Czerwiec 1946 r. *Dr Tadeusz Stark*

BERTOLD BRECHT

Krucjata dzieci 1939

(Kinder-Kreuzzug 1939)

Tłum. Aleksander Janta

Wychodzący w Berlinie tygodnik literacki „Ulenspiegel" zamieścił w pierwszym sierpniowym numerze b. r. wiersz znanego przed wojną niemieckiego pisarza Bertolda Brecht'a, autora „Dreigroschen Oper", pod powyższym tytułem. Wiersz ten, napisany był w czasie wojny i w tym roku po raz pierwszy ogłoszony drukiem.

W Polsce w roku trzydziestym dziewiątym
Bitwa była, przelano moc krwi,
Obróciła w ruinę i gruz
Miast niemało i niemało wsi.

Siostra brata straciła na froncie
Męża bomba trafiła jak grom.
Między ogniem i ścianą ruiny,
Dziecko zgubiło dom.

I odcięła się Polska milczeniem.
Nikt z jej ziemi listów nie chciał nieść.
Ale wówczas, na wschodnich obszarach
Osobliwa poczęła się wieść.

A śnieg sypał, kiedy mówiono
W pewnym miasteczku na wschodzie
O dziecięcej polskiej krucjacie,
O dziecięcym z Polski pochodzie.

Wyciekały głodne dzieciaki
Gromadkami na rozstaje dróg.
Inne do nich przyciągały z ruin
Tupotem bosych nóg.

Chciały uciec od bitwy, od wojny,
Od koszmaru tych okropnych dni,
Chciały dotrzeć do jakiegoś kraju,
Który jeszcze pokojem śni.

A prowadził ich przodownik mały,
Który robił dla nich co mógł.
Miał tylko jedno zmartwienie,
Że nie znał żadnej z dróg.

I był chłopiec, lat ledwo szesnastu,
Który wiódł małego, co miał sześć.
Dbał o niego jak dobra matka
Tylko, że nie miał co jeść.

Kroczył między nimi Żydek mały,
Aksamitny kołnierzyk miał.
Był nawykły do chleba białego,
To nieprawda, że się bardzo bał.

I dwóch małych braci, wojowników
dołączyło do gromady jeszcze.
Bawili się kiedyś w żołnierzy
uciekając tylko przed deszczem.

Jeden cienki, szary między nimi
Jakby stronił od ich przyjacielstwa.
Niósł na sobie brzemię strasznej winy,
Z niemieckiego przyszedł poselstwa.

Był i muzyk jeden, który znalazł
Bęben w sklepie rozbitego domu,
Ale nie bił po nim pałeczkami
By nie zdradzić, że idą, nikomu.

I był, zabrany na smycz
Pies, którego mieli potem zjeść.
Ale odtąd szedł stale z nimi,
Serce tego nie mogłoby znieść.

Także czasem uczyli się sami
Nauczyciel był drobny i słaby,
Na pancerzu w rozbitym czołgu
Nieporadne pisali sylaby.

Aż raz nad bystrym strumieniem
Dobosz mocno w swój bębenek bił,
Strumień szumiał głośniej o wiele,
Chłopiec nie miał tak wiele sił.

Była także miłość między nimi,
Dwoje razem odtąd pójdzie w świat,
Czesał włosy jej w pustym podwórzu,
Ona dziesięć, on trzynaście lat.

Była także bójka pośród dzieci,
Bowiem bandę spotkali inną,
Ale szczęściem szybko się skończyła,
Uważali ją za zbyt dziecinną.

Ale gdy jeszcze się bili
Pod rozbitą dróżnika budką
Skończyły się jednym zapasy
I nie mieli co jeść, mówiąc krótko.

A gdy o tem dowiedzieli się drudzy
Posłano im trochę ziemniaków,
Bo bez jedzenia, wiadomo,
Nic być nie może z wojaków.

I był także prawdziwy sąd
Z powodu zajścia pewnego.
Postawili dwie świece na stół,
A skazali samego sędziego.

I była pomoc w połogu
(Doświadczenie potrzebne każdemu)
Pokazała im pewna służąca
jak robić kąpiel małemu.

Miała dwie godziny zaledwie
By ich uczyć tej sztuki kąpania,
Potem państwu swoim musiała
Znaleźć miejsce do spania.

Z aksamitnym kołnierzem chłopczyna
Umarł po krótkiej chorobie.
Dwóch Polaków, dwóch Niemców go niosło,
Razem czterech składało w grobie.

Usypali kopiec świeżej ziemi
Ewangelik, katolik, nazista.
O przyszłości tych, co jeszcze żywi
Mówił potem mały socjalista.

Ale miłość przetrwać nie mogła
Przyszedł zbyt wielki ziąb.
Jak mają kwitnąć kwiaty
Kiedy mróz je przeniknie wgłąb?

Mieli wiarę i mieli nadzieję
Tylko nie mieli chleba,
Niech nikt ich nie gani, że kradli
Kiedy im jeść było trzeba.

I niech nikt nie potępia biedaka
Który zamknął przed nimi sklep.
Ofiarności nie starczy na tylu.
Trzeba mieć także chleb.

Gdy przyjdzie dwóch albo trzech,
Można nawet utoczyć krwi.
Ale kiedy jest ich aż pięćdziesiąt
Wtedy zamyka się drzwi.

W rozbitym chłopskim obejściu,
Worek mąki ze śpichrza wywlekła
Mała z nimi idąca dziewczynka.
A potem chleb dla nich piekła.

Wymiesili gęste ciasto z mąki
I gorący był piekarski piec
Ale się chleb im nie udał,
Nie wiedzieli bowiem, jak go piec.

Pociągnęli stamtąd na południe,
A południe, według ich rachunku,
I według słońca, jest chyba
W tym, w którym szli kierunku.

Aż znaleźli rannego żołnierza
Co leżał bezsilny w lesie.
Zajmowali się nim przez tydzień
Pójdzie z nimi, kiedy się podniesie.

Powiedział: do Biłgoraja,
Ale w oczach gorączka się pali.
Umarł na ósmy dzień.
Także tego razem pochowali.

Jednak były czasem drogowskazy
Wskazujące wśród zawiei stronę,
Tylko że myliły jej kierunek,
Były bowiem wszystkie odwrócone.

To nie był okrutny żart
Ale czysto wojskowe względy.
I kiedy szukali Biłgoraja.
Droga wcale nie wiodła tędy.

Otoczyli małego przywódcę
Patrzał w śniegi wiejące, sam,
Wskazał drobną, wyciągniętą ręką
I powiedział: to powinno być tam.

Nocą w oknach światło spostrzegli
Lecz do okien nie zapukali,
Trzy czołgi koło nich przeszły
I pojechały dalej.

Raz podeszli pod jakieś miasto.
Naradziła się gromadka ostrożna
Okrążyła je łukiem szerokim,
Wiedzieli, że wejść tam nie można.

A było to we wschodniej Małopolsce
I tam, w śnieżnej zawiei i matni
Widziano pięćdziesiąt pięć dzieci
Poraz ostatni.

Dziś, kiedy oczy zamykam
Jeszcze widzę ich pochód i drogę
Przez spalone domostwa i wsie,
Jak wlekły za nogą nogę.

Ponad nimi w chmurach wysoko
Widzę inne wędrujące gromady
Z trudem ciągną przeciw zimnym wiatrom
Bez kierunku, bez domu, bez rady.

Poszukują ziemi pokoju
Ziemi wolnej od ogni i gromów
Nie tej, z której ciągną ogromną
Gromadą dzieci bez domów.

I patrząc tak, poprzez zmierzch
Zdaje mi się, że tę ich wędrówkę,
Zamieniono w procesję wszech dzieci,
Jak w dziecięcą międzynarodówkę.

A w Polsce owego stycznia
Psa schwytano bliskiego zgonu
Który napis miał, zawieszony na szyi
Na kawałku kartonu.

Stało na nim: PROSZĘ O POMOC
BO DALEJ JUŻ IŚĆ NIE MOGĘ.
JEST NAS DZIECI PIĘĆDZIESIĄT
PIĘCIORO
ALE ZGUBILIŚMY DROGĘ.

JEŻELI PRZYJŚĆ NIE MOŻECIE
OSZCZĘDŹCIE PRZYNAJMNIEJ PSA
NIE STRZELAJCIE DO NIEGO
PROSIMY,
TYLKO ON DROGĘ DO NAS ZNA.

Pismo było wątłe, dziecinne.
Czytali je chłopi ze wschodu.
Minął przeszło rok od tego czasu.
Pies zdechł zaraz z wyczerpania i głodu.

Bertold Brecht
Tłum. Aleksander Janta

Apologia

Barbarzyńskie jest życie, barbarzyńska jest cisza...
Błogosławiony strzał!
Gdy nocą samolotów jęki zdyszane słyszę,
wielbię litanię dział!

Barbarzyńska jest droga, bezowocne podróże...
Gdy nie wiodą na front!
Kiedy nocą Dorniery włóczą się gdzieś w lazurze,
zapalaj śmierci lont!

Barbarzyńskie jest szczęście, bezowocna jest praca...
Gdy nie wiedzie do mordu!
Błogosławiony ten, kto z frontu już nie wraca...
Kto padł wśród dział akordów!

Wacław Iwaniuk

I. M. BOCHEŃSKI O. P.

Monte Cassino

Urywki wspomnień

11. V. 1944, g. 16,30.

Niebo jest czyste i wiosenne słońce włoskie oświeca łagodnym blaskiem szczyty oliwek pod którymi stoi nasz namiot; naokoło cisza, przerywana tylko dalekim warkotem motorów. W generalskim namiocie jest nas siedmiu przy kawie. Gospodarz, świetnie ubrany i promieniejący młodością, czyta powoli, na głos, papier który mu podał płk Wiśniowski. Naprzeciw, wygodnie oparty, słucha z uwagą ks. Biskup Polowy, w szarym „egipskim" mundurze. Battle-dress gen. Szyszko-Bohusza jest, jak zawsze, wzorowo zaprasowany, a twarz staruszka generała-chirurga promienieje dobrocią i zadowoleniem. Nic nie wskazuje na niezwykłość chwili. Nawet nasze działa, tak czynne do niedawna, milczą zupełnie, a Kubusie pochowały się na lotnisku w Venafro.

A jednak to jest wielka chwila, kawałek historii, której dzieci polskie będą się uczyły przez wieki. Ten papier, który generał czyta, to rozkaz bojowy. Szef Sztabu przyniósł go po przepisaniu: za chwilę zawarczą motory gońców i kości będą rzucone. Tu jest początek bitwy o Monte Cassino.

Patrzę po obecnych i staram się wykryć ich wzruszenie. Bezskutecznie: ci ludzie wojny są zadziwiająco spokojni. Jeśli jasna twarz generała i spokojny ruch, którym ks. biskup strzepuje popiół z papierosa, wyrażają jakie uczucie, to chyba radość. Radość, żeśmy się doczekali, że zaczyna się wielka bitwa, w której po raz pierwszy danym nam będzie mierzyć się z Niemcami równą bronią na odcinku historycznej wagi.

Teren: jesteśmy w najwęższym miejscu włoskiego półwyspu. Trzy drogi tylko prowadzą na północ: adriatycka, nr 16, wciśnięta między brzeg i najwyższe szczyty Apeninów, Appia, nr 7, tak samo ciasno ujęta w góry nad morzem tyreńskim i wreszcie, w środku, Casilina, nr 6, która biegnie tutaj kilkanaście kilometrów szeroką doliną rzeki Lira. Tę dolinę zamyka od północnego wschodu masyw Monte Cairo, z wysuniętym wzgórzem Cassino. Obserwacja z ruin opactwa jest wspaniała i, dopóki Cassino nie padnie, nie może być mowy o przejściu. Sześć miesięcy krwawiły się o tę skałę wojska francuskie, amerykańskie, nowozelandzkie i brytyjskie. Kolej teraz na nas.

O. d. B.: Grupa armii pod dowództwem gen. Alexandra składa się z 5 Armii Amerykańskiej i 8 Brytyjskiej. Dowódca amerykański, gen. Clark, trzema bodaj dywizjami własnymi zajmuje odcinek nadmorski tyreński; podlegają mu, dalej na prawo, cztery dywizje francuskie gen. Juin — i tragiczne Anzio. Na prawym skrzydle 8 Armia Brytyjska gen. Leese: 2 Korpus Kanadyjski, 13 Brytyjski w dolinie Liri (trzy dywizje), 2 Korpus Polski naprzeciw Monte Cassino; reszta odcinka, martwa, zajęta przez dywizję nowozelandzką. Są poza tym dwie

odwodowe dywizje pancerne brytyjskie i jakieś, bliżej nieokreślone bodaj fikcyjne jednostki 10 Korpusu. Niemców szacują na 25 wielkich jednostek.

2 Korpus Polski pod dowództwem gen. Andersa idzie w składzie: 3 Dywizja Strzelców Karpackich, gen. Duch; 5 Kresowa Dywizja Piechoty, gen. Sulik; 2 brygada czołgów, gen. Rakowski. Obie dywizje piechoty zajmują odcinek już od paru tygodni; gen. Rakowski wyładował się niedawno w Neapolu i stoi w odwodzie. Korpus jest doskonale wyposażony i wyćwiczony, owiany świetnym duchem bojowym, choć dużą jego część stanowią nowicjusze; ale liczbowo jest słaby: dywizje piechoty mają po 6 batalionów zaledwie i to niepełnych. Naprzeciw mamy jedną z najlepszych dywizji spadochronowych niemieckich. Teren jest taki, że kto go nie widział, nie uwierzy: nagie strome wzgórza pod świetną obserwacją i ogniem npla conajmniej z trzech stron, znakomicie umocnione. I z wyglądu i pod względem trudności Monte Cassino przypomina złowrogo Samo-Sierrę [1]).

Natarcie nie pójdzie na wzgórze klasztorne, którego zdobyć nie mogli nasi poprzednicy, mimo naprawdę bohaterskich wysiłków i olbrzymich strat. Korpus uderzy na pagórki między Monte Cairo a Monte Cassino; doliną na lewo ruszy natarcie naszych kolegów brytyjskich. Piąta dywizja stoi na prawym skrzydle, na lewym, bliżej klasztoru, trzecia. Zmasowano artylerię i ogromne lotnictwo. Przygotowanie zacznie się dziś, 11 maja, o 11 wieczór; będzie strzelało 1100 dział. „Zawsze lubiałem jedynastkę“ mówi generał.

11. V., g. 22,50.

Krąży lotnik niemiecki; bombardował, narobił szkody. Nie mogło być inaczej: w całej dolinie, aż po Rapido stoi wóz przy wozie i namiot przy namiocie. Wraca teraz i syreny wyją znowu, niepotrzebnie, bo kryć się nie ma gdzie. Artyleria milczy; noc jest cudowna.

Był przed wieczorem o. Studziński, trochę zastrachany, nie ogniem, ale własnym niedoświadczeniem. Uznał za stosowne przyjechać po rady „fachowe“, jak gdyby ktokolwiek z nas „starych“ miał pojęcie o służbie kapelana w bitwie czołgów: pod Monte Cassino po raz pierwszy w dziejach polskie czołgi godne tej nazwy pójdą masą do natarcia. Zresztą o. Studziński pokazał wysoką „technikę“. Kiedy pięli się po piekielnej Cavendish Road w nocy, bez świateł, pod ostrym ogniem, po prostu wysiadł z White'a i resztę akcji — 48 godzin — odbył pieszo, błądząc w dymie między czołgami na tej przełęczy śmierci pod klasztorem.

Ks. Biskup Polowy wychodzi z namiotu-kaplicy, spogląda z roztargnieniem w niebo i pyta czy już. Melduję, że za pięć minut. Siadamy na ławce. Niemca już nie ma, cisza jest zupełna.

Nagle, gdzieś za San Pietro Infine pada strzał armatni i chwilę po tym zrywa się burza, w dziwaczny sposób akustycznie pokoszlawiona przez echo gór. Chwilami to nie jest huk, ale wprost ryk dział, których strzały zlewają się w jeden przeciągły, niski grzmot; w tych chwilach ziemia naprawdę drży. Po tym ma się wrażenie, że niezliczone pułki naszej artylerii zaczynają jechać wprzód, ku nplowi: głos oddala się coraz bardziej, aż zginie zupełnie. Przez chwilę jest cisza, którą przerwą poszczególne wystrzały, aż wróci ryk, jak gdyby

---

[1]) Szczegóły o położeniu przytaczam z dziennika, bez żadnej kontroli późniejszej.

artylerzyści się byli zbudzili. Burza będzie szalała przez parę minut, aby znowu milknąć i zginąć w zupełnej prawie ciszy.

Ks. Biskup marszczy brwi: on, stary żołnierz spod Verdun, nie takie widywał przygotowania artyleryjskie. Wychodzę za bramę obozu, skąd lepiej widać linię i stwierdzam, że stanowiska niemieckie palą się poprostu nieustannym, jasno czerwonym ogniem. Te przerwy to tylko złudzenie: nawała ogniowa jest ciągła, o kolosalnej intensywności. Bitwa się zaczęła.

12. V., g. 1,30.

Ksiądz Biskup postanowił odprawić Mszę Świętą o 1,15 w nocy, tak, aby Podniesienie wypadło na początek natarcia. Namiot kapelana jest ciasny, szaty liturgiczne biedne i pomięte; dwie małe świeczki palą się na stole-ołtarzu; komendant SOE 5 i paru żołnierzy tylko klęczy w mroku. Ale tu jest znowu kawałek historii. W chwilach, gdy ryk dział zdaje się zbliżać, płachty namiotu falują i świeczki trzeba ochraniać, aby nie gasły. Ks. Biskup odmówił prefację, gdy artyleria zamilkła, tym razem naprawdę: natarcie jest w toku. Słyszę słowa konsekracji: „Ten jest kielich krwi mojej..." i wiem, że Ks. Biskup modli się z nami wszystkimi, za tych, którzy w tej chwili giną.

Cisza trwa przez chwilę. Teraz działa strzelają znowu, ale już nie tak jak przedtem, chaotycznie jakoś. Próbuję się łączyć z piątą; nie ma połączenia. Nie wiem dlaczego, zaczyna mnie ogarniać niepokój.

12. V., g. 9,00.

Niepokój nie był bezpodstawny: jesteśmy pobici.

Od rana w SOE 3 zaczyna się krwawy ruch. Długie kolumny sanitarek przywożą, jedna za drugą, setki i setki pokaleczonych ciał. W pół godziny pełne są sale szkolne, pełne korytarze. Trzeba układać w ogrodzie; pod drzewami, na trawie, na grzędach kwiatów, w każdym zakątku leżą ranni żołnierze.

W SOE 3, choć praca wre, panuje cisza. Nie ma jęków: morfina. Zespół, wcale nie święty, cierpiący wczoraj jeszcze na Bóg wie ile histerii i intryg, odmienił się nagle: pracuje w rękach świetnego komendanta jak sprawna maszyna, cicho, dokładnie, z poświęceniem i troskliwością. Będzie tak pracował przez cały tydzień, aż do zwycięstwa.

Ale w SOE 3 jest nastrój troski i przygnębienia. Każdy ranny pyta nieodmiennie o to samo: czy klasztor wzięty? Niestety, od rana już wiem, że nie, że jesteśmy pobici, że pierwsza faza bitwy kończy sie porażką. Ogień artylerii nie wywołał spodziewanego efektu: bunkry stoją. Jesteśmy zepchnięci na podstawy wyjściowe. Jak to powiedzieć ludziom, którzy cierpią, a gotowi są cierpieć więcej jeszcze, byle klasztor był wzięty? Ktoś mówi grupie rannych prawdę. Jestem świadkiem ataku rozpaczy młodego chłopca, który zrywa sobie odznaki i histerycznie krzyczy. Słucham opowiadań o piekle na San Angelo i 593, przerywanych ciągle tym samym pytaniem: czy klasztor wzięty?

Okropny dzień: kryzys bitwy.

12. V., g. 15,00.

Ks. Biskup pracował przez wiele godzin jak zwykły kapelan; teraz jest pracy mniej i przyjechaliśmy do dowództwa. Robię wielkie odkrycie. Wiedziałem,

bo to jest elementarna prawda, że w każdej bitwie jest kryzys, który uderza w walczącego żołnierza i, zwłaszcza, w dowódcę, tym silniej, im wyższy szczebel. W dowództwie Korpusu stwierdzam nowy dla mnie fakt: kryzys bitwy uderzył ze straszliwą siłą w małych pomocników wodza, w telefonistów, pisarzy, w podrzędnych wykonawców. Widzę ludzi jakby wyciągniętych z grobu, z zapadłymi policzkami i podbitymi oczyma, wyczerpanych i prawie złamanych. Za to generał jest niezrównany: zimny, spokojny, ostry i uprzejmy zarazem, trzyma drgający kurczowo organizm skrwawionego Korpusu w żelaznym uchwycie swojej woli.

Był gen. Leese. Jest dobrej myśli; gratulował naszemu generałowi i oświadczył, że ich dostaniemy: we shall get them. Nakazał zaprzestać dalszych prób, reorganizować się i przeczekać.

Na niebie jest straszno: od godziny już przeszło, klucz za kluczem ciągną na północ bombowce. Naliczyłem ich, czekając przy samochodzie, prawie 800, po tym musiałem przerwać.

Położenie: Największe powodzenie osiągnął na lewym skrzydle gen. Juin. Wyszedł czterema dywizjami na jedną tylko, niczego się nie spodziewającą, dywizję niemiecką i rozbił ją odrazu w puch; on sam i Amerykanie na jego lewym skrzydle posuwają się szybko naprzód. Niestety, rzut oka na mapę wystarczy, aby się przekonać, że nam to zadania nie ułatwi. W dolinie Liri działy się podobno straszne rzeczy: trzynastka angielska skrwawiła się tak, że mówią o konieczności wycofania dwóch dywizji. Ale trzynastka wdarła się mimo strat w linię nieprzyjacielską. My jesteśmy zepchnięci na podstawy wyjściowe. Na naszym prawym skrzydle Nowozelandczycy nie pokazali klasy godnej ich wielkiej tradycji bojowej. Demonstrowali bez serca i prędko dali spokój; nie potrafili nawet ściągnąć na siebie części niemieckiego ognia, bo npl zorientował się szybko i obrócił wszystkie działa na naszą piechotę.

Przebieg natarcia był następujący. Po przygotowaniu artyleryjskim piechota obu dywizji wyszła do natarcia z wielkim impetem. „Deska“ (3 D. S. K.) zajęła niemal jednym skokiem wzgórze 593, kluczowe, cel natarcia. Gorzej poszło piątej, która nie zdołała się wedrzeć dostatecznie głęboko i zaległa pod morderczym ogniem. Ten ogień okazał się niezwykle gęsty i celny — zwłaszcza ogień moździerzy. Niemcy bili literalnie ze wszystkich stron, nawet z tyłu gdzie stały ich ciężkie baterie w Attine i bliżej. Jednym z charakterystycznych i szczególnie tragicznych momentów bitwy o Monte Cassino były rozpaczliwe wołania radiowe piechoty o zaprzestania ognia na zajęte już stanowiska, bo piechurzy, ostrzeliwani z tyłu, byli pewni, że bije ich własna artyleria. Szczególnym piekłem w tej kotlinie śmierci stało się wzgórze 593, na który npl kierował nieustanną nawałę ognia wszystkich broni. Dzielna piechota wytrwała, mimo to, przez cały dzień; dopiero w nocy trzeba było ściągnąć niedobitki.

Ten opis nie pozwala nawet w przybliżeniu, nawet starym żołnierzom, wczuć się w grozę tej walki. Trzeba zobaczyć teren, aby ją zrozumieć.

12. V., g. 16,30.

Pisałem kiedyś o poczwórnym pięknie wojny, o jej czterech obliczach, które kolejno zachodzą jedne na drugie: piękno harmonijne, wzniosłość grozy, piękno organizacji i „piękno“ moralne. Niespodziewanie przeżywam, wbrew

mojej teorii, wszystkie cztery formy tego piękna zarazem. Groza jest, wyniesiona z SOE, wiejąca z wysadzonych stosów amunicji i porozbijanych obozów. Piękno organizacji mam po raz pierwszy sposobność podziwiać z tak wysokiego szczebla: skomplikowana maszyna Korpusu gra w ręku dowódcy jak cudownie precyzyjne narzędzie. W tej chwili dominuje jednak strona moralna. Stało się coś prawie nadludzkiego: Korpus, kilkadziesiąt tysięcy ludzi zaczął żyć wczoraj i żyje jak jedna istota, przejęta jedną myślą i jedną wolą o nieprawdopodobnym napięciu. Stąd te fascynujące fragmenty, których tak mało, niestety, przejdzie do historii. Meldunek porucznika w namiocie dowódcy: „Panie Generale, melduję, że żołnierze umieją umierać". Śmierć płk. Kurka. Batalion płk. Domonia, który poszedł po wariacku, bez rozkazów, w ogień i śmierć. Artylerzyści-maszyny, którzy pracowali tyle godzin bez odpoczynku, nieprzytomni prawie ze zmęczenia. Kierowca z Inferno Track, który, ciężko ranny, pod ogniem, bez świateł, dowiózł swoich rannych do SOE, aby w nim umrzeć nazajutrz. I nieustanny szept gorączką palonych warg w moim szpitalu: czy klasztor wzięty?

Wojna jest wielka wielkością moralną i z pasją myślę o głupcach-pisarzach, którzy prorokują z foteli „koniec bohaterstwa i wiek techniki". Nie ma końca bohaterstwa i żadna technika go nie zastąpi: bitwę toczy, w bitwie się krwawi i pada człowiek, wielki nie techniką, ale charakterem.

Ale skoro o technice mowa, i ona jest, a z nią ten pierwszy aspekt piękna bitwy, który według mojej teorii powinien był zginąć przy nastaniu grozy i bohaterstwa. W tej chwili drogą przede mną toczy się z grzmotem długa kolumna czołgów. Niezapomniany widok. W ogromnych tumanach kurzu wyrwanej przez gąsienice jezdni, z piekielnym rykiem silników, jadą setki ciężkich wozów wojennych. W otwartych klapach nieproporcjonalnie wiotkie postacie młodych, jasnych chłopców, w czarnych beretach na bakier, z lornetką u pasa, pięknych jak greccy bogowie i wiedzących o tym, dumnych i wesołych. Generał podciąga odwody: jadą w ogień i paszcze dział są odkryte. Z warsztatówki powychodzili żołnierze i patrzą w skupieniu, jakby na procesję. Ja sam nie mogę oprzeć się wzruszeniu: ta kolumna odzwierciedla w niezwykły sposób istotę wojennego charakteru, połączenie siły i prawości: straszliwa moc dział i motorów w sprawnych rękach chłopców o jasnych oczach i duszy.

17. V., godz. 17,00.

Wązka dolina Rapido pokryta jest białym dymem, który buchając ze setek punktów, przesłania nasze życie i ruch przed obserwacją npla. Poprzez dym rysuje się kolos Monte Cairo, tak bliski, jak gdyby wisiał nad nami. Czasami, gdy wiatr zwiewa zasłonę, na lewo w górze pojawia się czarny kłąb wybuchów: Monte Cassino. Ale człowieka, który wjedzie tutaj ze „spokojnego" Inferno Track oszałamia nie tyle ten widok — jeden z najbardziej niesamowitych jakie widziałem w życiu — ile głos, potworny głos wielkiej bitwy: bo drugie natarcie jest w toku.

Głos bitwy brzmi jak skomplikowana orkiestra; z głuchym trzaskiem pękają po całej dolinie, pstrząc białą zasłonę dymu, pociski niemieckie; dudnią strzały naszej artylerii, która pracuje znowu z całą siłą; w przerwach słychać nieustanny warkot broni maszynowej i ostre, męczące szczekanie moździerzy. Najbardziej niesamowite jest w tym wszystkim tło dźwiękowe, wycie pocisków naszych i niemieckich, które lecą tak gęsto, że sprawiają zupełnie wrażenie sklepienia.

Przypominam sobie kiedyś czytany wiersz Polski Podziemnej: „A kiedy poniosą chłopcy znowu, pod łuki łuny i ołowiu...“ To jest to: jedno nieprzerwane, ponure wycie pocisków, świetnie naśladowane przez anonimowego poetę.

Z „piekielnego traktu“, migając pod siatkami maskowniczymi i tymi napisami „Nie daj się zabić!“ wypadły na pełnym gazie dwa łaziki. Przy kierownicy pierwszego chuda postać i surowa twarz ks. Judyckiego, Szefa Duszpasterstwa Piątej Dywizji Kresowej. W drugim starszy pan w przeciwiperytowym płaszczu od kurzu i stalowym hełmie na siwych włosach: to Ekselencja na jednej z codziennych arcypasterskich wizytacji. Łaziki sadzą w dymie i ryku z wyboju w wybój, dosłownie jak konie. Skrzyżowanie: żandarm w białych rękawiczkach wskazuje drogę prawidłowo, jak w wielkim mieście i dostrzegłszy twarz ks. Biskupa, salutuje z wyrafinowaeą prostotą, jak to tylko nasi żandarmi potrafią. Bum! Granat koło drogi. Zakręt, znowu granat i łaziki wpadają na wysunięty Punkt Opatrunkowy.

Dostrzegli nas i podnoszą alarm. Z domku na wizjerze oliwnego gaju biegną doktorzy, gruby ks. kapelan Łuszczki i chłopcy. Obrośnięci wszyscy, czarni, niewyspani: pracują bez wytchnienia od Bóg wie jak dawna. Powitanie w tym dymie i huku jest jedyne: kapelan klęka, jak ryt nakazuje, doktorzy prężą się służbiście a w oczach chłopców czytam radość z dostojnych odwiedzin. Ks. Biskup także nie traci fasonu, choć hełm do infuły zgoła niepodobny, grubą warstwą kurzu pokryty płaszcz niczym nie przypomina farioli, a zeskok z łazika Polowemu chyba Biskupowi przystoi. Prowadzą Ekselencję uroczyście do domku.

Mroczne wnętrze. Czterech pół-nagich rannych majaczy w transfuzji, a krew sączy im się w żyły z butelek sznurkami przywiązanych do pułapu. Lżej ranni siedzą na ławie; stary kapral z uderzającą troskliwością opatruje właśnie jednego. Ks. Biskup siada przy kulawym stole i przegląda notatki. Jeden z lekarzy przynosi menażkę kakao. Ściany drżą i tynk sypie się na głowy.

18. V., godz. 10,00.

Natarcie które wyszło wczoraj popołudniu udało się i nasza piechota zajęła znowu te złowieszcze szczyty, tym razem wszystkie. Trzynasty Korpus także posunął się w dolinie. Dziś nad ranem był mimo wszystko drugi kryzys bitwy i położenie przedstawiało się dramatycznie.

Byliśmy wszyscy, w sztabach, szpitalach, warsztatówkach, przy działach — nie mówiąc już o piechocie i czołgach — u kresu sił fizycznych i nerwowych. Ostatniej nocy nie mogłem wogóle zasnąć z przemęczenia, Ks. Biskup także. Odwodów nie było: generał posłał w ogień wszystko co miał, do kompanii ochrony sztabu włącznie; w 3 D. S. K. dowódca zebrał — starożytnym polskim zwyczajem — ciurów, chcę powiedzieć, telefonistów, pisarzy i kasynowych, aby ich posłać na linię. Jeszcze jeden dzień bitwy, a nie starczyłoby już wytrzymałości. Cele natarcia były osiągnięte, ale o 6 rano zebrano w dowództwie meldunki o znacznych skupieniach piechoty i broni pancernej npla, gotowych do przeciwuderzenia. Przeciwnatarcia nie było potrzeba, bo nagie szczyty gór nie pozwoliły naszej piechocie na żadne umocnienie się, sił do podciągnięcia ciężkiej broni brakło, a odwody były wyczerpane. Gdyby te meldunki były prawdziwe, gdyby przeciwuderzenie było wyszło nad ranem, bitwa byłaby przegrana. Nie mieliśmy już sił: naszych dwanaście słabych batalionów dało ze siebie wszystko i więcej,

niż było po ludzku możliwe w walce z dwoma dywizjami w tak trudnym terenie. Przegrana nie byłaby hańbą.

Ale meldunki były fałszywe: npl odchodził, a raczej odchodzili ci, co w jego oddziałach pozostali przy życiu — niewielu. Dziwna rzecz: myśmy pogrzebali koło tysiąca poległych i mamy w szpitalach do 3000 rannych; u nich, jednej dywizji poprostu nie ma. Patrząc kilka dni później na pobojowisko, nie mogłem dla tego stosunku strat znaleźć innego wytłumaczenia, jak w świetnym wyszkoleniu i duchu żołnierzy. Korpus bił się wprost fantastycznie.

18. V., g. 14,10.

Niebo pod Cervaro jest czyste i słońce świeci znowu, jak wtedy; namiot ten sam i ci sami ludzie, tylko z piętnem dni wysiłku i grozy na twarzach. Generał czyta na głos swój meldunek. Zdala dochodzi grzmot dział, co biją w Piedimonte, a czasem z niezdobytej jeszcze Attine doleci ze świstem ciężki pocisk niemiecki. Ale to już koniec: bitwa jest wygrana.

Wraca codzienność. Generał zżyma się, że za mało obiecują dla jego żołnierzy odznaczeń. Szef sanitarny wściekły, bo już są samochodowe wypadki. Piechota klnie na złe kwatery, warsztatówki — te same, co w ciągu bitwy potrafiły naprawić 52 działa — na nadmiar pracy. Urwała się półośka w naszym samochodzie. Trzech chłopców w battle-dressach poszarpanych kulami przyjeżdża do Ks. Biskupa z pretensją, że im zabrał „ich“ księdza. Ramzesy urągają Buzułukom, Buzułuki Ramzesom. Kierowca prosi aby mu ułatwić kupno kasztana. Aż nagle zatrzeszczą aparaty i długie kolumny potoczą się w tumanach kurzu, wioząc dziesiątki tysięcy ludzi, jeszcze bladych po bitwie, a już pogrążonych w codzienności, do Campobasso, Peskary, na front adriatycki, po nowe trudy, walki i zawody.

Pan Skrzeczyński zapuścił już silnik. Jedziemy: Monte Cassino przeszło do historii.

Fryburg, w maju 1946. *I. M. Bocheński O. P.*

Łowca wiatrów

Stawiam me żagle, lotne żagle białe...
Za mną — rzucony świat
Majaczeje...
I kołysany falą oddaleń
Łowię w nie wiatr,
Łowię w nie wiatr
I nadzieję...

Dniem słup złocisty słońca na wodzie
Kurs mój wyznacza
Skroś chwiejby fal,
Nocą toń srebrzy księżyc-czarodziej
I mewy płaczą
Swój żal.

A w czas przed nowiem, szafirową nocą
Mój niewód rzucam za sterem
W głąb tajemniczą
I gwiazdy łowię, co w toni migocą
Nie pragnąc pereł —
Morski Don Kichot.

Gdy — czasu burzy — szaleją fale —
Ster mocny — i dłoń
Co nie mdleje —
Kurs mój jednaki: dalej i dalej...
Port — morska toń...
Hyperboreje...

Bronisław Miazgowski

RYSZARD KIERSNOWSKI

Podróż sentymentalna

Wiśniowy sad, wiśniowy sad
Przez okna nagle do mnie wpadł,
Rozdokazywał się, rozkręcił,
Aż do utraty tchu, pamięci,
Słońcem się wczesnym zarumienił
I wspomnieniami legł na ziemi.

Wiśniowy sad... tu myśl ukradkiem
Otwiera kufry i szufladki,
I tak jak natręt, jak włóczęga
Po zakazany owoc sięga.

Listy! Niedobre, stare listy!
I ten króciutki, i sążnisty,
I ten nerwowy, niemal drżący,
I tamten pełen słów gorących,
Listy zatrute szału czadem,
Dawno skazane na zagładę...

A czemu teraz, czemu właśnie
Krążycie przy mnie coraz ciaśniej
Płatkami wiśni i słów rojem,
Listy, niedobre listy moje...?
Czemu tak nagle przychodzicie
Wyblakłych słów minionym życiem,
I czemu każdy niemal list
Jest taki smutny, jak Valse Triste?

Stało się. Czytam. Dni głębokie
Pędzą expressem koło okien,
Londyn gdzieś ginie na zwrotnicach,
Pamiętam adres. Dom, ulica —
Boże, jak strasznie dziś się śpieszę --
Czy otrzymałaś mą depeszę?

Niech tylko zdążę. Już się marzy
Radość, zdziwienie na twej twarzy,
I kwiatów naręcz, nie, kosz cały
U nóg bajecznie doskonałych.

Piszesz, że przyszłość twoja ze mną
Rysuje się tragicznie ciemno.
Że ja z rozwianą chodzę głową,
Na poetycko, na liliowo,
A czasem takie rzeczy plotę,
Że aż do płaczu masz ochotę.

Możnaby żyć jak ludzie inni,
Mniej po wariacku, mniej dziecinnie,
Jakoś do ładu i do składu,
Bez moich wierszy i wypadów.
Ty ze swej strony wszystko zrobisz,
Abym szczęśliwy był przy tobie,
I będziesz do mnie należała
„Bez reszty. Najzupełniej cała...“

Słodka! Jak mogłem wybrać wiersze!
Przecież to ty, od chwili pierwszej
Byłaś właściwym drogowskazem,
Uosobieniem słowa: „razem“.
Razem, we dwoje, w cnocie, zgodzie,
Każdyby witał nas przechodzień,
I tylko w domu bym wymagał,
Żebyś chodziła przy mnie naga.

Pędzę expressem. Koła dudnią
Minionym nocom i południom,
Rankom i zmierzchom tej rozkoszy,
Której smak kiedyś ciebie płoszył.

Jadę do ciebie! A na szynach
Jakaś melodia się zaczyna,
Coś się rysuje, coś się składa,
Express do lasu zaczął gadać
I nagle — czuję, czuję z bliska —
Z pod kół strzelisty wiersz wytryska!

Miła! Ty wierszy nie udźwigniesz...!
Wysiadam szybko, jak w malignie,
Cóż to za stacja? Któżby zgadł?
Wiśniowy sad. Wiśniowy sad.

Wiśniowy sad... tu myśl ukradkiem
Zamyka kufry i szufladki,
I rzucam listom ciche słowo,
Które jest słowem... na liliowo.

Ryszard Kiersnowski

Cykl: „Więzienne godziny"

Godzina ostatnia

Za chwilę mam już odejść
i życiem tętnić dalej —
Chcę jednak jeszcze spojrzeć
raz na tych, co zostali.

I klęknąć chcę pokornie
przed tą największą nędzą
i w piersi bić i modlić
dopóki nie przepędzą.

Z goryczą ich szyderstwa,
a płaczem zatajonym
chcę odejść między ludzi
nie ja już, ale oni...

Janusz Kucharski

Ulica Dobra i Pawia

Na zasłonie firanki — firanka jest tkana,
może lekkim muślinem, bo w blaskach się pławi —
leży mrok. A na mroku jak gorąca plama,
twarz. — Taką twarz spotkałem na ulicy Pawiej!

Sam mieszkałem na Dobrej, w miejscu gdzie swe dłonie,
rzucała poprzez domy, ulice i mosty.
Krok od Wisły — a w Wiśle jak w chłodnym wazonie,
z dna gwiazdy przebijały przez fal wodorosty.

Na Pawią krok był tylko, lecz Pawia bez nocy,
bez księżyca co świecił, jak woskowa plama,
nie miała pawich wdzięków ani pawiej mocy...
I twarz choć za firanką nie była ta sama.

Odjechałem... Za późno by dzisiaj pamiętać,
moment gdym żegnał szczęście na Pawiej ulicy.
Lecz wszystkie napotkane w podróży dziewczęta,
są cząstką tamtej nocy pod pełnią księżyca.

Wacław Iwaniuk

Ścieżka wśród pola

Na polnej, słońcem rudej ścieżce —
Zaczarowanym babim lecie —
Coś rżną skrzypaki wieczne świerszcze
Pod wiatr, który im wąsy plecie.

Jest lato — leży cichość w polach —
Te świerszcze tylko ciągle grają —
Senność południa czyli zioła
I senną nitkę snuje pająk.

— — — — — —

Może tam jeszcze jest ta ścieżka
I może dalej świerszcze komuś
Grają jak mnie: — Tu ludzka mieszka
Dola, co wiedzie w dom i z domu...

Janusz Kucharski

Historia

Gdy człowiek stanął przed własnym wizerunkiem
wyszarpał z piersi mięsa kawał i krew
i zmieszał je z balsamem i gorącym trunkiem
a ponad sercem grzmiał jego śpiew

kiedyś podał dłoń swojemu bratu i odszedł w drugi krajobraz
twarz jego wyrzeźbiły wiatry i deszcz i skwar
i poszli ludzie drogami których im nikt nie obrał
a na spojrzeniu moc pieczęci położyli i obrożę praw

a słońce dało im kolor skóry różnojaki
do szmeru strumieni i wycia hien stosowali swój głos
i w przestrzeń poszli nieznaną jak ślepe ptaki
gdy o gałęzie uderzają jak oni o los

ostrze dzirytu który przebił zbroję wroga i ów obcy krzyk
życie było piękne tylko odrywali od niego ludzi jak kwiaty
w dźwięku łańcuchów i dzwonów rzucano im słodycz śmierci i fig
a ziemię pożarami poszyli jak ubranie w łaty

i żyć nam codziennie jest trudniej i ciaśniej
lecz z ulic jak z okien wyciąga ktoś ręce
to nagi człowiek i krzyk jego pragnień własnych
o inną pieśń woła i zrywa akordy w piosence.

Bronisław Kamiński

Sambo

Czarujący prymityw
z sandałowego drzewa,
S a m b o —
uśmiecha się smutnie codzień...
O to, żem jest człowiek
mnie podejrzewa,
wyrzuca mi to...

Wiem, że drewniany murzyn
do ludzi dawno
zaufanie utracił
i ocenia jak należy — dobro i zło
chodzenia po linach,
czyli tej tzw. skądinąd —
cywilizacji.

Mimo wszystko
spoglądamy na się przyjaźnie
i mówię tak:
— Ty się, Sambo, nie gniewaj,
bo ja też dążę pomału
do tego co i ty — ideału
z drzewa.

— Będę miał drewniane serce i mózg,
wargi, —
aby mi nie zleciały z ust
krzyki, żale, przekleństwa,
bym nie wypluł na to moje — człowieczeństwo
skargi.

— Dasz mi swą dzidę
też drewnianą...
I kiedy — przed Bogiem,
który ciebie i mnie stworzył,
stanę —
nie będę mógł nic powiedzieć,
bo przecie —
Bóg i tak nas zrozumie
i musi o nas obu, —
od kołyski aż do smutnego grobu, —
wszystko — wiedzieć,
umieć.

Masindi — Bunyoro. Afryka Wsch. *Jerzy Dołęga-Kowalewski*

BRONISŁAW KAMIŃSKI

Lunapark Don Kijota

POWIEŚĆ EKSPERYMENTALNA

Rozdział pierwszy

Zdziwilibyście się gdybym zaczął szczegółowo opisywać czerwony nos Belzebuba. Jeszcze bardziej będziecie zdumieni, gdy odwiążę spojrzenia i rzucę tak daleko by były niedościgłe dla waszego ujadania i wycia. Przed chwilą na skrzyżowaniu ulic upadła kobieta przejechana przez zdarzenia. Narastał tłum gdy policjant rozwarł ziemię. Był silny jak Bóg. Galary płynące po Wiśle nie okazały żadnego zdumienia. Płynęły powoli i pewnie.

W górze:

Ręka robotników i pomysł inżyniera, most rozpięty dwadzieścia lat temu podpierał niebo nachodzące chmurami i wypuszczał stubarwne ulice.

Miasto:

Dzieło rąk pogrzebanych przez wieki i znów różowych i twardych od bicia kilofem.

Dokąd podążają długie smugi świateł, reflektory odbite od aut?

Na bajorach wyrastają żelazne palce ziemi — wieże radiowe, a jednak niższe od naszych tęsknot.

Pod bladą latarnią dziewczyna znalazła zgubiony fiołek, lecz radość jej rozbiła się o kask policjanta.

Z kościołów odpływają śpiewy mięsożernej tłuszczy.

Gdy księżyc wypływa na niebo złodziej z Bagdadu kradnie westchnienie, a pod oknami zasłoniętymi koronkową firanką, rozlega się głos serenady i kwiląca melodia skrzypiec. To zakochany romantyk składa swoje uczucie w nieśmiałej tęsknocie. Panienka zrzuciła kwiat przez okno, lecz pocałunek oddała silnemu atlecie.

W suterynie Piotr pobił żonę, a w domu bankiera odbywa się kłótnia sióstr o cień mężczyzny.

Neony pożerają niebo.

Pieniądze są bramą do szczęścia, przeto nagie tancerki głaszczą się o brzęk monet.

Bezdomna kobieta rzęzi na progu i drętwieje z zimna. Jej syn mógłby być największym złodziejem epoki ale został wrzucony do kanału i zgnił z odpadkami śmiecia.

Ukrzyżowany Chrystus patrzy na wszystkie zjawiska i jest pełen milczenia. List przyszedł zapóźno, więc przemysłowiec popełnił samobójstwo. Mały kawałek metalu jest biletem pozwalającym odbyć podróż w krainę aniołów.

Kwitną bzy w ogrodach i kwitną sentymentalne nastroje. W każdej wiosce jest sielanka: krówki, pastuszkowie, wiatr, karczma, codzienna bójka i ręce oderwane od pługa i przeniesione na cmentarz.

Pan Baltazar Krawczyk siedzi na werandzie swojej willi i wspomina młodość. Jakże piękny jest świat, a żona jego, jak ona podobna jest do Zulejki z poematu Byrona. Właśnie stanęła w drzwiach gruba, jak rondel pełen słoniny i krzyknęła: — Znowu nie narąbałeś drzewa, ty gamoniu, czem ja obiad gotować będę. Żem ja wyszła za takiego durnia. O Boże, jakeś mnie pokarał.

Milion obrazów. Każdy krok jest obrazem. Każda minuta jest światem.

Lecz cóż to za kurzawa na drodze? Cóż to za rycerz w lśniącej zbroi przebiega przez oczy? Skąd ze współczesnego życia mógł wyrosnąć taki pędziwiatr pochłaniający przygody.

Pewien młody człowiek zaproszony na stypę pośmiertną poświęconą pamięci ciotki swojej księżnej saskiej — po wypiciu dziesięciu kieliszków błękitu wykradł z pałacu starą żelazną zbroję. A była to zbroja Don Kijota.

I jechał Don Kijot poprzez ludzkie oczy. Wśród tłumu ludzi jak wśród stepu niósł samotnie swój romantyzm i patrzył na zdarzenia. Świat się zmieniał i nie posiadał ciągłości. Każdy dzień miał inną twarz. Don Kijot spacerował po swoich pałacach i dumał. Widać go było w poczekalniach dworców kolejowych, które są krainą niepewności i wyczekiwania. Twarze wstępują na stopnie i wyginają się w ciemnym sklepieniu przykrytym dymem. Potem pociągi odjeżdżają i wbijają się w zielony wiatr. Bezdomny włóczęga przytula się do ciepła poczekalni i czeka aż wskażą mu palcem dziurawe drzwi i ulice, wtedy kradnie marzenia.

Czasami odbywały się igrzyska. Młodzi rycerze walczyli o złudzenia, a na ich czele stał najdzielniejszy i najwaleczniejszy Don Kijot.

Trawiony samotnością i wiecznym niezadowoleniem Don Kijot zapragnął giermka. Wszystkie rozgłośnie radiowe i wszystkie urzędowe obwieszczenia zawiadamiały o zapotrzebowaniu człowieka szlachetnego charakteru, posiadającego świadectwo moralności wystawione przez najwyższych doradców Belzebuba, a chcącego dzielić wspólny los z najszlachetniejszym rycerzem Don Kijotem i zostać jego giermkiem.

Zgłoszeń było dużo, ale nie tak dużo aby Helena Tarnawiecka nie mogła wylegiwać się na otomanie i iskać z pcheł swojego ulubionego kota. Don Kijot siedział w wielkiej sali na sprężynowo podnoszącym się fotelu i przyjmował petentów. Odkładał ich twarze do pamiętnika. Aż wreszcie przyszedł gruby pokraczny człowieczek w białej todze, a posiadający szeroką kanciastą głowę i pijacki nos. Skłonił się przed Don Kijotem i pożarł ślady jego nóg. — Jestem z Aten. Zwą mnie Sokratesem najmędrszym człowiekiem. Właśnie zażyłem truciznę abym był zdolny przybyć do ciebie. Chcę ci służyć.

Don Kijot wziął wielką szpadę i mianował Sokratesa rycerzem zmieniając mu imię na Sancho Pancha.

Odtąd wędrowali razem.

Kolorowe miasta jak bukiety rozsypywały się po ziemi. Obłąkane psy pożerały sznurówki. W każdych oczach jest inna scena, a w każdym sercu inny teatr. Przemiany społeczne ściśnięte paskiem zwaliły się pod nogi głodnego człowieka. Na podwórzu starej kamienicy rośnie suche drzewo. Parę dzieci

łapie wytrzepany kurz i bawi się w śmieciach. Na przodzie domu jest szynk w którym można kupić śmierć a opodal znajduje się mieszkanie poety.

Tymczasem w duszy Don Kijota powstała natchniona wizja stworzenia i dziejów:

Ponad mgławicami słów unosił się duch boży
poczynał
z pustej przestrzeni wyłoniły się formy energii
aż wyrzeźbiono twarz człowieka
wtedy nastąpiła historia zbrodni
bowiem nicość się nicością unicestwia
a nazwali unicestwienie Adam i dali mu synów i córki
ogień został uratowany od zagłady przez Orfeusza.

Don Kijot roznosił po ziemi ogień i bunt a giermek jego wytłómaczenie. Przeklęta niech będzie kobieta, która w dwudziestym wieku porodziła Don Kijota. Niech skona na szczytach Kaukazu rozszarpana przez sępy.

Rozdział czwarty

Wieczór wypłynął księżycem ponad dachy domów. W drzewach parków tliły się gwiazdy i latarnie. Neony topiły się w lustrach aut i w oczach. Z kawiarń odpływały dźwięki jazzu i ciepła sentymentalność mieszczańska. Przez ulice na czarnym, ognistym koniu jechał nieskazitelny rycerz Don Kijot, a obok na grubym pokracznym osiołku Sancho Pancha, wierny jego giermek, wywodzący ród swój z Aten. Kopyta końskie klaskały o asfalt i echem odbijały się o ściany kamienic. Księżyc połyskiwał w zbroji stalowej. Z okien wychylały się głowy nieśmiałych dziewcząt, a ręce dziewczęce zrzucały kwiaty pod nogi rumaka. Przechodnie zatrzymali się, spoglądali na rycerza i schylali głowy w głębokim szacunku. Sancho Pancha, ubrany w czerwony tużurek, gryzł pestki od dyni i uśmiechał się do przechodzących kobiet. Na skrzyżowaniu ulic leżała dłoń ze znakami kabalistycznymi, a palec tej dłoni wskazywał na Don Kijota.

Wtedy właśnie przekupka handlująca owocami zawołała w tłum:

Zróbcie miejsce, bo jedzie zbawca świata Don Kijot.

Rycerz spoglądał na miasto, na jego życie i ludzi. Każdy z tych ludzi żył życiem okoliczności i wypadków. Żaden z nich nie miał swojej maski. W ich oczach widać było odbicie domów, szklanek i metalu, radość i wesele były poza ludźmi, gdzieś na boku prowadziły swój odrębny żywot, tylko czasem zbliżały się do ludzi i wkładały im uśmiech na twarze. Natomiast żarłoczność była w ludziach, żarłoczność była ich towarzyszem i ich duszą. Każdy z nich czegoś pragnął i nikt nie był zadowolony. Ich ręce były śliskie i chciwe.

Don Kijot jechał w milczeniu i myślał o jakimś potężnym wstrząsie któryby wytrącił przechodniów idących przez życie z matowych płaszczyzn spojrzeń, a wtrąciłby ich w lustra lśniące od świateł i od śmiechu rozbijających się na miazgę promieni, igrających w kolorach i wyobraźni. Miastu brak zapomnienia i szału. Brak mu życia i porywu gwałtowniejszego od namiętności. Brak mu lunaparku, któryby wkroczył w życie miasta i by objął je ramionami szaleństw, ramionami natchnień, któryby przez radość i gwałtowność zdarł maski z twarzy ludzi, odarł ich z szat i z nagiemi tańczył wśród wiatrów.

A będzie to uczta i dosyt, a będzie to wybawienie od egoizmu i od chciwości. Bo czyż człowiek ucieszony może być samolubem?

Don Kijot wjechał w ogromny plac, na którym był zgromadzony tłum w milczeniu oczekujący przyjazdu rycerza.

Pokłońcie się przed majestatem męstwa i szlachetności — krzyknął opasły prowodyr do tłumu.

Rzesza padła na klęczki a chór srebrnych dziewic pieśnią przywitał przybycie oczekiwanego.

Don Kijot wszedł na wielką trybunę specjalnie dlań przygotowaną i skinął ręką na powitanie.

Niech żyje Don Kijot!

I znowu cisza.

Don Kijot zaczął mówić:

Witam was, synowie piekieł, a bracia moi. Dzisiejszy wieczór jest chwilą zstąpienia szatana i objawienia. Bom ku wam przyszedł, aby wam objawić nowe życie. Pójdziecie ze mną drogami, które wam wskażę, albowiem czas jest, aby pomyśleć o prawdziwym życiu, o miłości w weselu i zmysłach. Pobuduję wam świątynię, którą nazwiecie Lunaparkiem Don Kijota. I to będzie dom mój. Tam będziecie oddawać mi cześć wy i synowie wasi. W domu tym znajdziecie ukojenie od trosk które zsyła na was Bóg. Dość już doświadczeń i dość już cierpień. Błogosławiony niech będzie piorun zakwitający w ustach i sercach.

Umilkł.

Tłum pogrążył się w ekstazie i wpłynął w głupkowaty wygląd księżyca płaczącego nad swoim okrągłym, pucułowatym pyskiem.

Oto jest tryumf sprzączki od paska i epoki tańczącej po rozmiażdżonych palcach bruku.

Kopyta końskie klaskały o asfalt, a paru uliczników biegło za głupkowatym obdartym człowiekiem i krzyczało: — Wariat! wariat! — ciskając przytem kamieniami w nieszczęśnika.

Belzebub uradowany podskakiwał na swoim fotelu i poprawiał krawat mrucząc przy tym: Brawo! brawo! Don Kijocie, synu mojej matki i zagubionego romantyzmu.

Bronisław Kamiński

ZBIGNIEW J. MAŁECKI

Szkarłatny kwiat banana

Czwartego dnia pojawił się wreszcie upragniony wiatr. Bryza ciągnąca od morza rozwiała niski welon mglisto-niebieskiego dymu, roztrzepując go na tle widocznego już błękitu w długie, sięgające hen-daleko, pasma. Cienka nić rtęci obniżyła się nieco, i po ostatnich szaleńczych skokach zatrzymała się na 40^{0}. W porcie panowała cisza. Małe fale, ślad bryzy wiejącej nad powierzchnią morza, dobiegały leniwie do falochronu i rozpryskiwały się prawie bezszelestnie. Mimo późnej, popołudniowej pory przy magazynach były pustki. Piętrzyły się stosy przygotowanej do ładowania bawełny, oślepiająco białej na tle czerwonych wagonów, martwo stojących pociągów. Karykaturalnie wydłużone ramiona dźwigów zastygły w bezruchu, zwisając smutnie nad omdlałą wodą. W cieniu frigidaria drzemały bezkształtne postacie murzyńskich robotników.

Na mostku gorąco było nie do wytrzymania. Zegar z wysiłkiem wypacał sekundy i minuty, rzucając w duszną przestrzeń chrapliwy dźwięk mechanizmu. Trzeci oficer wyszedł ze sterówki. Otarł pokryte kroplami potu czoło i kark, i potoczył zmęczonym wzrokiem po zmartwiałym porcie. Z lądu dochodził daleki gwar miasta i bliższy niezmordowanych cykad, koncertujących zawzięcie w niedalekich zaroślach. Słońce dosięgło właśnie Wzgórza Palm i otuliło się w zawój ciągle jeszcze napływającego dymu. Czarność podzwrotnikowej nocy objęła ginący dzień i wypchała go na kraniec nieba. Raz jeszcze krople czerwieni uchodzącego słońca zapłonęły na powierzchni morza i znikły w obliczu narastającej szybko nocy.

W głębi portu zabrzmiały trzy podwójne dzwonki oznajmiające siódmą godzinę. Odpowiedziały im zbliska grube krążownika i jeszcze bliższe z mostku. Śpiący port przebudził się. Zapalono światła. Najpierw nanizał się światłem koralowy paciorek czerwono-błyskających boji, drogę z portu wskazujących; potem wystrzeliły w noc ostre smugi latarń Prayi i Olindy. Nad miastem zawisła srebrna łuna iskrzącego się pyłu świetlnego. Na nabrzeżach chrzęszczące szkielety kranów raz po raz zanurzały się w przepaść ładowni i łapczywie chwytały łup-ładunek. Prychający parą samowarek przejechał z gwizdem, snując zapach palonej kawy, zastukał na zwrotnicach i zapadł się w tunelu magazynów. Czarna, oleista woda rozedrgana śrubami kręcących się po porcie holowników, klaskała po kadłubie statku. Przywiązana do trapu motorówka, w takt tego klaskania podskakiwała, szarpiąc cienką cumą.

Kleks ominął magazyny, pełne kurzu i wrzawy, i posępną doliną karłowatych, drewnianych domów, ruszył do miasta. Szybko mijał małe, niskie zabudowania dziwacznie pokonturzone w mdłym świetle latarni, rzadko porastających martwotę ulicy. Wychynął wreszcie z zaułka i przystanął niezdecydowany nad skwerkiem ruchliwego placu. Bliżej śródmieścia domy były już murowane, oblepione okurzoną roślinnością, rozwalone niedbale w przestrzennych ogrodach. Tłum wrzawy rozpychał się w łożyskach chodników wędrując jakby

bez celu we wszystkich kierunkach. Kleks przemierzył nawskroś ten prąd i wszedł do brazerii. Wewnątrz było jeszcze pusto i cicho. Wrzawa uliczna dochodziła tu poprzez trzcinową zasłonę falującą w rytmie ulicznego ruchu. Za bufetem barman o czerwonych rękach wycierał bezwiednie powierzchnię baru z wyimaginowanego pyłu. Za nim piętrzyły się na półkach baterie najrozmaitszych płynów. Na środku sali przygarbiony murzyn froterował posadzkę. Długie jego nogi obleczone wyszarzanym suknem kloszowych spodni zwijały się w takt jemu tylko wiadomej melodii. Skręcały się elastycznie w podrzucie górnej połowy ciała, by później kołysać się miękko i bezwładnie, jak nogi wisielca. Szmaty pod stopami znaczyły swe ślady połyskliwymi smugami. Szurgot nóg pracującego garbusa i wrzawa uliczna zlewała się w uszach Kleksa w jednostajny szum działającej maszyny.

Powoli sala zaczęła się zaludniać. Na balkonie biegnącym wokół sali ukazały się wyświeżone postacie dziewcząt. Pikowały wzrokiem do znajdujących się na sali mężczyzn, próbując tu i ówdzie nawiązać wzrokowy kontakt. Gwar głosów i roznoszenia napojów wzmagał się.

Trzeci oficer rozchylił bezdźwięcznie dzwoniące trzciny i zajrzał do wnętrza. Ujrzawszy Kleksa, samotnie zagubionego pod balkonem, wepchnął małego, o czarnych, kręcących się w loki włosach, tubylca i wszedł. Przeszli przez ciżbę gości i zasiedli obok Kleksa. Trzeci położył swą białą, oficerską czapkę na stole i bębniąc palcami w jej sztywne denko spojrzał wyczekująco w twarz tubylca. Ten obejrzał się najpierw lękliwie poza siebie i na boki, a nie widząc nic podejrzanego, pochylił się nad stołem i rzucił szybkim szeptem:

— „Norte“ ładuje bawełnę i prowiant... stoją pod parą... dwa, trzy dni... — ręka o długich, cienkich palcach zafalowała w sinym od dymu powietrzu.

Kleks wyjął z ust wykałaczkę i wypluł drzazgi na podłogę.

— Ty, senhor, co to za blondynka tam w rogu obok kolumny, nigdy jej tutaj nie widziałem?

Trzeci szturknął go łokciem i przysunął się bliżej senhora, który świszczącym szeptem dalej coś opowiadał. Kleks włożył nową wykałaczkę i przymrużywszy oczy macał wzrokiem rozbawione dziewczęta. Przez gwar i dym dochodziły go strzępy rozmowy. Senhor skończył już swój raport, i teraz odpowiadał na pytania Trzeciego.

— A co jest z „Athlen“ i „Santos“?

— Trudno mi konkretnie odpowiedzieć. Obydwa stoją na wewnętrznej redzie, a załoga po ostatniej awanturze nie wychodzi na ląd. Nie wiem jak u nich z paliwem i żywnością. Dowiem się jak otrzymam odpowiedź z Buenos...

— Co za odpowiedź, od kogo? — przerwał Trzeci.

— Od tamtejszych agentów którzy ładowali na „Athlen“ i „Santos“. Można obliczyć na jak długo im wystarczy... Senhor dysponując widocznie szóstym zmysłem ludzi o nieczystym sumieniu, obejrzał się nagle w kierunku wejścia i skulił się jeszcze bardziej, na widok wchodzącego właśnie mężczyzny.

— To asystent z „Cap Norte“, skupuje owoce i jarzyny...

Kleks rozlał resztę dżynu i wychylili obaj duszkiem, senhor ciągnął przez zęby jak przez słomkę i odstawiwszy szklankę zaśmiał się.

— Wy Polacy jesteście jednak bardzo pobożni...

— Czemu? — spytali na raz Kleks i Trzeci.

— Jak pijecie wódkę, zawsze spoglądacie w niebo...

* * *

Stefan wyskoczył z tramwaju i wbiegł w ciemną, wąską aleję prowadzącą na plażę. W porcie dawno już oddzwoniono dziewiątą. Z półwyspu, brzegiem którego biegł teraz na umówione spotkanie, widać było oświetlony port. Światła reflektorów pełzały po wodzie na kształt srebrnych węży. Barwne kwiaty sygnałów portowych migotały wzdłuż nabrzeży i falochronów. W miarowy szum morza i szelest potrącanych wiatrem gałęzi wkradał się daleki odgłos pracy. Wiatr przynosił chrzęsty stalowych kranów, gwizdy parowozów i statków, i rzucał ich echa na czarną ścianę palmowego lasu. W muszlach uszu gwar morza rozbijał się na stłumione grzmoty zwalistej fali płaszczącej się na piasku wybrzeża i na krótki łoskot wody pieniącej się na wystających głazach. Bezsilne macki zalewu wczepiały się białymi pazurami w sypki piach brzegu i zwolniwszy uścisk, cofały się przed następnym uderzeniem.

Stefan rozejrzał się uważnie i ruszył w kierunku żarzącego się papierosa. Ida siedziała na kamieniu. Jej białe, smukłe ręce, oparte łokciami o kolana powlekały się czerwonym blaskiem ognika. Przywitała go skinieniem głowy, i paliła dalej, równymi, długimi pociągnięciami. Za nimi rozciągała się ciemna plama krzewów i palm, o lekko przekrzywionych koronach, jakby głowach zastygłych w niemym zdziwieniu. W kolczastej gęstwinie kaktusów i oślizgłych krzaków, lgnących do człowieka jak zła fama, grały brzęczliwie muchy i tenorowe cykady. Chór szmerów palmowego gaju wykwitał solowym śpiewem na tle mrukliwej pieśni oceanu i cichł znowu do wtóru morza. Szła melodia za melodią, prawie bez przerwy. Czasem tylko fale zdumione własną pieśnią biły poklask, uderzając o wysunięte skały. Wiatr niósł słony smak tego poklasku po krzakach i dalej. Spoza załomu wody wstał księżyc, rześki po niedawnej kąpieli, i jął suszyć swe promienie rozciągając je na zawieszonych dłoniach drzew. Złożył długie nici blasku na pniach, gałęziach i krzakach, na piasku i na wodzie. Z pochylonych pod ciężarem promieni drzew padały krople na piasek, skrząc go błędnymi ognikami.

Ida wtulona w ramiona Stefana patrzyła poprzez nawisy gałęzi w niebo.

— O czym myślisz, słodki marineiro? — spytała nagle, chcąc przerwać nieznośne milczenie.

O czym myślał? Czy mógł jej powiedzieć w kilku słowach dzieje owych nieznośnych, jak brzęczenie moskita, myśli; szeregu przegadanych nocy, spisków serca i nierealnych nadziei? Czy dziewczyna z podzwrotnikowego brzegu zdolna jest zrozumieć bieg jego myśli, bezsilnie szamocących się w fizycznej bezczynności ciała? Fale jego myśli szły na antenę kraju, przyciągane magnesem gorączkowego niepokoju. Złorzeczył losowi, który rzucił ich na piach brazylijskiego wybrzeża i zmuszał do czekania. Stali tak już od tygodni w skwarze Południa, oczekując wiadomego wyniku zmagań, i łudząc się, że będzie inaczej. Ze strzępów codziennych wiadomości składali sobie obraz zdarzeń, jak dzieci układają kolorowe klocki drzewa, chwiejne i nietrwałe. Z potoku nazw miejscowości padających z głośników i łamów dzienników wyławiali drogie sobie imiona miast i wsi. Kleszcze śmierci i zniszczenia, dwustronną pożogą ściskające ich kraj zawarły się wreszcie z głuchym jękiem ostatnich strzałów. Wygasły na-

dzieje. Zamarł głos z Polski w metalowych pudłach głośników. Dni stały się ciężkie, spieczone podzwrotnikowym słońcem i wewnętrznym żarem niepokoju. Szczupła garstka rozbitków na obcym brzegu zamknęła się w sobie, ze swymi troskami.

Stefan każdą wolną chwilę wykorzystywał na samotne spacery po okolicy. W czasie jednego z nich spotkał znowu Idę. Poznali się przedtem na statku, którym Ida płynęła wraz z matką na kongres eucharystyczny do Pernambuco. Stali długo na dziobie patrząc wdół na przewalające się skiby wody. Jej długie, czarne, wpadające prawie w granat włosy, wiatr rozwiewał na podobieństwo pochodni. Zgarniała je razem smukłymi dłońmi, by za chwilę znów płonęły na wietrze. Para oczu o akwamarynowej toni w otoce różowo-mlecznej skóry twarzy przyciągała świeżością egzotycznego kwiatu. Spędzali długie godziny szeptów, ukryci na decku pod rozłożystymi szalupami, lub na zawieszonym nad falami dziobem. Później stracili się z oczu, zajęci własnymi sprawami. Spotkali się powtórnie przypadkiem na ulicy. Odtąd zaczęli chodzić znowu razem. Ona pełnym harmonii krokiem, on rozkołysanym, młodego żeglarza. Obeszli wspólnie całą okolicę portu od lotniska do Olindy. Wdrapywali się na wydmy i zapuszczali wgłąb dżungli. Zwiedzali klasztor dominikanów, włócząc się cały dzień po wszystkich zakamarkach. Czy kochał ją? Nie wiedział. Pragnął jej i jej obecności, lubił jej głos i ruchy, słuchał jej chętnie, gdy mówiła śmiesznym francuskim, a czasem odczuwał nieodpartą chęć wyrządzenia jej jakiejś krzywdy i zadania jej bólu. Działała mu na zmysły, jak działają ciężkie noce Południa, wyiskrzone gwiazdami i oszałamiające pragnieniem miłości. Czuł, że dzięki niej uchyla się przed nim rąbek tajemniczego świata, pełnego niespodzianek i zawodów, a progu tego świata przekroczyć nie śmiał, ani się cofnąć. Otępienie rzeczywistością i wrażeniami stało się przyczyną jego całkowitego bezruchu, był jak korek na wodzie — zależny od ruchu wody i niezdolny do samodzielnego działania...

— O czym myślę? — powtórzył, szukając odpowiedzi — szukam po prostu wyjścia z zaułku. Mam już dosyć bezruchu... chcę działać, być pożytecznym w jakiś sposób...

— w jaki? — spytała Ida, odpalając papierosa — masz jeszcze czas, jesteś młody...

— właśnie chodzi o ten czas. Czas sobie idzie, a my w najlepszym wypadku stoimy w miejscu, jeśli się nie cofamy. Nie chcę się konserwować do „lepszych" czasów...

— ... i dlatego wolę spróbować ucieczki do Dakaru — dokończyła Ida, udając, że jej to zupełnie obojętne.

Stefan zerwał się i siadł.

— A ty skąd wiesz?

— Phi — odrzekła Ida z filuternym uśmiechem — całe miasto już mówi o tej waszej przeprawie przez Atlantyk. Zresztą nie wierzę, abyście pojechali.

— Zatrzymasz mnie może?

— Może... — zarzuciła mu nagle ręce na szyję i ucałowała w usta... Długie jej, czarne włosy zsunęły mu się na twarz i przesłoniły i niebo i morze...

* * *

Kleks pocierając spotniały kark patrzał przez ramię Trzeciego, układającego tekst szyfrowanej depeszy. „Cap Norte“, jak to zapowiedział senhor, wyszedł już w morze poprzedniej nocy, zachowawszy wszelkie środki ostrożności. Chodziło teraz o zawiadomienie najbliższej jednostki brytyjskiej o tej ucieczce. Kleks spacerował po kabinie, uradowany „psikusem“ — jak mówił — jaki urządzą Niemcom. Wyobrażał sobie ten moment zaskoczenia i powolne tonięcie „szwaba“. Trzeci skończył i wstał.

— No, będą mieli banany...

— Co oznacza właściwie „szkarłatny kwiat banana“? — spytał, przejrzawszy tekst.

— S -- odparł tajemniczo Trzeci.

— S? Nic nie rozumię.

— Sekret przyjacielu.

— Aha — domyślił się Kleks — niewtajemniczeni apage!

— Coś w tym rodzaju — potwierdził Trzeci — poza tym, że te słowa oznaczają, że „Cap“ wiezie ładunek skór, kawy i owoców, compris?

— Si — rzekł niepewnie Kleks — to poco ta cała maskarada z czerwonymi bananami, skoro można było po ludzku napisać o co chodzi?

Trzeci nic nie odpowiedział i odwróciwszy się plecami z zainteresowaniem śledził przepływającą motorówkę.

W porcie panowała już nocna cisza. Oszronione blaskiem księżyca nabrzeża wisiały jasnymi plamami nad ciemną wodą. Z krążownika dochodziły odgłosy kroków wachtowego, tętniąc w spokojnej ciszy. Czarna woda przelewała się w korycie portowego kanału szeleszcząc w otarciu o kadłub statku. Kleks stał wciąż oparty o stół i puszczał małe, kręcące się kółka dymu. W równomierny stukot zegara wdarł się nagle trzask odbiornika. Trzeci odwrócił się od bulaja i rzekł:

— Banany idą w górę!

* * *

Stefan i Ida trzymając się za ręce jak dzieci, przedzierali się przez zarośla okalające plac kongresowy. W blasku księżyca drobne łodygi kwiatów zgrubiały jak pnie drzew, gięły się fantastycznymi cieniami i łamały. Kłącza kaktusów błyskały iglastymi kryształami jak świeczki na choince. Szponiaste palce gałęzi zwieszały się złowrogo nad ich głowami, gotowe schwytać śmiałków wkraczających w ich władztwo. Ciężkie, oparne powietrze wibrowało ostrą wonią kwiatów, niewidocznych w zaroślach, i kory drzewnej. Z pobliskich drzew bananowych dobiegał aksamitny zapach dojrzewających owoców. Tam prowadziła Ida. Wyszli na małą polanę. Wokół rozkładały się wachlarze krzewów, wygiętych kolbami bananów, podobnych dużym, jasnozielonym szyszkom. W jednym miejscu drzewa rozstępowały się tworząc jakby żywy amfiteatr. Na scenie zaś główny aktor tego teatru grał barwami płonącego szkarłatu swą najpiękniejszą rolę... W otoku mięsistych, ugiętych ku ziemi liści, wychylał się delikatny kwiat banana. Wąskie języki płatków płonęły jak ogień, strzelając czerwienią porannej zorzy na kształt gwiazdy. Kielich purpury lekko przechylony w kierunku księżyca, pił z niego srebro drobnymi pałeczkami pręcików. Cienka

łodyga, jakby w poczuciu bezcenności dźwiganego skarbu drżała lękliwie, by nie strącić płonących płatków. Księżyc jak reflektor teatralny coraz to inne rzucał blaski, a kwiat tańczył w płomieniach tęczy.

Zadrgała gałąź i szary cień przemknął się w koronie palmy. Czar kwitnącej nocy prysł. Stefan ocknął się i otrząsnął z marzeń. Raz jeszcze rzucił okiem na kwitnący płomień i odwrócił się...

* * *

Trzeci nakręcał zegarek, czekając chwili ruszenia. Maszyny drżały zniecierpliwione czekaniem, mrucząc niezrozumiale. Kleks przechadzał się po mostku, usiłując utrzymać równowagę. Fala na redzie rzucała nieruchomym kadłubem jak liściem. W ciemności nie zauważył nawet przyjścia Trzeciego. Stał wpatrzony w jasny port, już oddalony i czekał. Uczuł nagle ucisk czyjejś dłoni na ramieniu i poznał głos Trzeciego.

— Ciekawy jestem, czy oni depeszują teraz do „Spee"?

Kleks wzruszył ramionami.

— „Szkarłatny kwiat banana", banany pójdą teraz w górę...

Statek zadrżał, jak koń uderzony biczem, i na zmniejszonej szybkości ruszył w morze. Światła portu długo jeszcze migały na horyzoncie, aż wessał je mrok nocy.

Zbigniew J. Małecki

Śpiew

Chcę w dłonie śpiew uchwycić
i między polem i kąkolem
krew z warg niesytych
złożyć na czyimś czole

brzękiem pszczół i barwą miodu
rozszumieć łąki zieloną siejbę
słyszeć ból wiecznej rozkoszy i wiecznego porodu
i morza wielkiego nieznaną głębię

chcę by w wieczór chłodny i świeży
wiatr zaszeleścił na drzewach
a przechodzień otarł kurz z odzieży
i posłuchał jak ziemia oddycha i śpiewa.

Bronisław Kamiński

WACŁAW SOLSKI

Z pamiętnika wariata

I.

Bardzo nieprzyjemny wypadek wydarzył się niedawno w Belgradzie. Wychodzi tam gazeta, która się nazywa „Polityka“, a w tej gazecie pracuje fotograf nazwiskiem Raka Ruben. I otóż jak donoszą pisma, fotograf Raka Ruben został skazany na rok więzienia za fałszerstwo. A trzeba dodać, że fotograf Ruben wcale nie jest wrogiem pana marszałka Tito, na odwrót, popiera go ze wszystkich stron! A właściwie tylko z dwóch. I dlatego też Ruben nie mógł ścierpieć, że marszałka Tito witało na dworcu w Belgradzie bardzo mało ludzi. Wódz Tito powrócił z Pragi do Belgradu w doskonałym humorze, ale złośliwi Serbowie, żeby mu zrobić na złość, nie przyszli na stację aby go powitać. No a pan Ruben sfotografował powitanie Wodza na dworcu. A potem wywołał fotografię i widzi, że zarówno fotografia jak i stacja świecą pustkami. Ale od czego technika? „Czekajcie, niewdzięczne swołocze“ — mówi w myślach fotograf Ruben do tych, co nie przyszli na stację, „ja wam pokażę!“. I pokazał. Skopiował z negatywu tych co przyszli, osiem razy z lewej strony i osiem razy z prawej. A Wódz Tito stoi pośrodku z uśmiechem na twarzy. I ma rację, że się uśmiecha, bo otaczają go tłumy. Fotografię ma się rozumieć wydrukowali w „Polityce“, i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że ktoś zauważył tego samego entuzjastę w meloniku osiem razy po prawej stronie fotografii i osiem razy po lewej. A jak się lepiej przypatrzył, spostrzegł że reszta tłumu też jest jednocześnie i tu i tam.

Ja osobiście nie widzę w tym nic nadzwyczajnego, bo dlaczego entuzjasta w meloniku nie miał być jednocześnie w szesnastu miejscach? Zwłaszcza, jeśli tego wymaga dobro państwa? Ale mnie uważają za wariata, i prokurator w Belgradzie widocznie się ze mną nie zgadza, bo powiedział na sądzie, że fotograf Ruben zlekceważył swoje obowiązki i naraził na szwank dobre imię nie tylko gazety „Polityka“, lecz całej jugosłowiańskiej prasy. I biednego fotografa wtrącili do więzienia!

Opowiedziałem to wszystko byłemu dyrektorowi Hukaczowi i zapytałem go, czy Raka Ruben może liczyć na amnestię, bo przecież działał w najlepszej wierze? Dyrektor Hukacz zdjął but i mocno podrapał się w piętę. A potem włożył but spowrotem i odpowiedział mi w te słowa: — Wykryłem niedawno, że mój mózg przeniósł się z głowy do lewej pięty. Jest to objaw dosyć zrozumiały ze względu na panujące obecnie w polityce prądy. I dlatego też przed każdą ważną dycyzją drapię się w piętę, aby pobudzić mózg do większej wydajności. Wniesioną przez pana petycję w sprawie fotografa Rubena odrzucam. Kierują mną zarówno względy natury formalnej, jak i zasadniczej. Amnestią, jak to powinien wiedzieć każdy Polak, może być objęta tylko osoba, która nie popełniła żadnego przestępstwa. Tylko takiej osobie można wybaczyć winę, której nie popełniła. Tyle w sprawie formalnej. Co zaś do faktycznego stanu

rzeczy, to przestępca Ruben zasłużył na surową karę już chociażby dlatego, że go złapali na gorącym uczynku. Cóżby pan powiedział o fałszerzu pieniędzy, który tak źle fałszuje pieniądze, że go łapią za każdym razem kiedy usiłuje puścić je w obieg? Każdy powie, że do takiego fuszera nie można mieć zaufania, i w przyzwoitym towarzystwie nikt nie poda mu ręki. Co innego zręczny fałszerz, którego jeszcze nie złapano za kołnierz. Taki może liczyć na poparcie sfer, a sfery mogą liczyć na poparcie z jego strony. I z tego powodu porozmawiajmy o sprawach bieżących. Czy było jeszcze coś ciekawego w gazetach?

— Było jeszcze o Lidze Narodów w Genewie. Ale dobrze nie zrozumiałem, bo pisało, że się odbyło posiedzenie, na którym postanowiono zlikwidować Ligę Narodów raz na zawsze. Pieniądze, które zostały w kasie, rozdzielili między sobą członkowie Ligi i nie-członkowie, bez żadnej różnicy, i dlatego Rosja też dostała swoją część, żeby nie myślała, że Finlandia znowu chce zdobyć Ural, jak to już raz miało miejsce, i Rosja miała nawet wtedy w Genewie dosyć duże nieprzyjemności na tym tle. A jak już wszystkie pieniądze rozdano, to Główny Szef Ligi Narodów zamknął gmach Ligi na klucz, westchnął z ulgą, wrzucił klucz do jeziora Lemańskiego, i powiedział do delegatów: „Panowie i panie, proszę się wynosić i nie stać mi tu przed bramą. Przedstawienie jest skończone, i żeby mi się to więcej nie powtórzyło!". Wszyscy naturalnie poszli, bo nikt nie chciał moknąć na deszczu. Ale za co zlikwidowali Ligę Narodów? Może mi pan powie, bo nie wiem.

— Za to, że się nie umiała przystosować do wypadków, — odrzekł dyrektor Hukacz. — Gmach w Genewie miał dwa skrzydła: prawe i lewe. A w dzisiejszych czasach, drogi panie Szczypiorek, tylko lewe skrzydła mają rację bytu. Niech pan weźmie dla przykładu taki wypadek: na posiedzeniach UNO w Nowym Jorku nasz pan profesor Lange siedział dotychczas na prawo od pana Gromyki. Ale prędko się zorientował, że to wcale nie wypada, i kilka dni temu się przesiadł. I obecnie siedzi zaraz na lewo. I teraz cokolwiek powie, powie jako lewicowiec. Bo ważne jest wcale nie to, co kto mówi albo robi, tylko to, gdzie kto siedzi. Znał pan Niegdysia?

— Tego z byłego londyńskiego rządu landlordów?

— A właśnie.

— Średniego wzrostu, blondyn?

— Ten sam. Cichy był człowiek, i nawet dosyć małomówny. Żydów nie lubił, poglądy prawicowe, żył głównie przeszłością. A teraz nagle ryknął z Londynu na cały świat! Już nawet w Ameryce gazety o nim piszą. „Nie dawać", powiada, „jedzenia tym co nie jadą do Warszawy!" Sam nie jadę, ale mnie dawać! Wydać w ręce władz danego rządu tych którzy nie uwielbiają danego rządu! *Każdy obywatel jest własnością danego rządu!* Precz z prawem azylu, tym niecnym wymysłem międzynarodowych wywrotowców! I tak dalej. I odrazu wszyscy powiedzieli, że to są strasznie rewolucyjne i lewicowe hasła. A dlaczego tak powiedzieli? Dlatego że Niegdyś siedzi tam gdzie trzeba. A od tego wszystko dzisiaj zależy. I to samo dotyczy Niemców. Von czy nie von, Nazi czy nie Nazi — bez różnicy. Byle usiadł gdzie należy. Albo stanął, — naturalnie na baczność. I dlatego też mam coraz większe zaufanie do Berlina. Bo słyszałem, że w Berlinie... dlaczego wsadził pan sobie do nosa skarpetkę?

— Żeby zwrócić na siebie uwagę, bo chcę coś powiedzieć — odrzekłem. — Skoro Niegdyś zrobił się taki sławny, to może i o mnie napiszą w gazetach?

Pobieraliśmy w Londynie taką samą pensję! Co mam zrobić, żeby napisali o mnie w gazetach? Niech mi pan coś poradzi!

— Trudno panu dać radę, boś pan wariat — odrzekł Hukacz. — Coś pan wczoraj powiedział dyżurnemu lekarzowi? Powiedział pan, że się pan uważa za Kopernika. A na co komu teraz Kopernik? To nie jest żadne lewicowe nazwisko.

— Byłem wczoraj Kopernikiem, ale dziś już nie jestem, bo mi się sprzykrzyło — odpowiedziałem. — Może zostać Marksem?

— A gdzie broda? Będzie pan czekał trzy lata, aż wyrośnie? Nie, trzeba działać natychmiast! Zostań pan Göbbelsową! Powiedz pan, że się wcale nie spaliła, tylko przebrała za pana. I że obecnie całkowicie popiera pana Rzymowskiego! Jak na początek, to wystarczy. Po pewnym czasie może pan pójść jeszcze dalej na lewo. I niech pan doda, że trzymają pana w domu obłąkanych wrogowie ludu. To będzie sensacja! Zaraz napiszę artykuł do gazet.

Dyrektor Hukacz począł pisać artykuł. Serce zabiło mi wesoło i radośnie. Nareszcie świat o mnie usłyszy!

II.

Epokowy czwartek.

Dyrektor Hukacz, którego, jak i mnie, trzymają bez żadnego powodu w domu wariatów, zrobił dzisiaj epokowy wynalazek. Zaraz opowiem jaki, i wówczas każdy będzie musiał przyznać, że mamy genialne głowy. A kto tego nie przyzna, ten sam jest wariat.

Muszę jednak wszystko opowiedzieć od samego początku. Otóż Hukacz wdrapał się dzisiaj na krzesło, podniósł palec do góry, i odezwał się do mnie w te słowa:

— Panie Szczypiorek, uwaga! Czuję, że szwęda mi się po głowie wspaniały pomysł, ale jeszcze nie wiem jaki.

— Może coś z dziedziny astronomii, albo też weterynarii? — zapytałem, wiedząc, że dyrektor Hukacz posiada wykształcenie wszechstronne i głębokie.

— A właśnie że nie! — krzyknął Hukacz drżącym ze wzruszenia głosem. — Coby pan powiedział na to, gdybym kazał znieść raz na zawsze wszystkie cyfry?

— Arabskie i rzymskie?

— Arabskie i rzymskie. Zgadza się pan, czy się pan nie zgadza?

— Pewnie że się zgadzam — odrzekłem. — Nie posądza mnie pan chyba o chęć rozbijania jednolitego frontu. Warchołem nigdy nie byłem i nie będę. Niech mi pan tylko powie, jak to zrobić.

— Ha, ha! — zaśmiał się dyrektor Hukacz, zeskakując z krzesła. — Jakież to naiwne i głupie pytanie! Oczywiście że ogłosimy dekret. Napiszemy w dekrecie, że ani liczyć, ani żadnych w ogóle cyfr wymieniać nikomu nie wolno, i sprawa skończona.

— Dobrze — powiedziałem — Ale niech mi pan powie, po co?

Dyrektor Hukacz spojrzał na mnie gniewnie i odrzekł:

— W celu uratowania świata. Opowiadał mi pan wczoraj, co piszą gazety o wyborach w Polsce?

— Opowiadałem.

— Więc właśnie. Wrogowie jednogłośnej demokracji marzą o tym, żeby im pozwolono wrzucać do skrzynek wyborczych różnomyślne głosy. A jak już nawrzucają, to je potem wyciągną przy pomocy szczypiec do cukru. I będą chcieli te głosy policzyć. A ja im na to: precz, panowie i panie! Możecie sobie wrzucać do skrzynek co wam się żywnie podoba, ale liczyć nie wolno, bo cyfry zostały zniesione. Nie będzie cyfr, i już.

— I dat urodzenia też nie będzie?

— Nie będzie. Ile kto ma lat tyle ma — i milczeć.

— Ani numerów domów?

— Ani numerów domów.

— Ani numerów telefonu?

— Ani numerów telefonu.

— No to w takim razie w porządku — powiedziałem. — Widzę, że już pan wszystko obmyślił, i ja również nie mam zastrzeżeń. A właściwie mam, ale tylko jedno.

— Jakie? — zapytał dyrektor Hukacz, groźnie marszcząc brwi, i wyciągając z kieszeni notes, aby je sobie zapisać.

— Obawiam się, że będziemy musieli zrobić wyjątek dla hotelu „Polonia" w Warszawie — odrzekłem Hukaczowi. — Bo w tym hotelu, jak mi opowiadano, mieszkają wyjątkowo wybitne jednostki...

— Rozumiem! — zawołał Hukacz. — Może pan dalej nie mówić, bo już wiem, o co panu chodzi! O numery na drzwiach każdego pokoju!

Dyrektor Hukacz objął mnie i ucałował w oba policzki, a potem powiedział:

— Stokrotne dzięki, że zwrócił pan moją uwagę na ten ważny szczegół. Dla hotelu „Polonia" musimy w istocie zrobić wyjątek, bo w przeciwnym razie mogą zajść przykre nieporozumienia. Łatwo sobie na przykład wyobrazić, że w tym hotelu mieszka jakiś wielki dygnitarz, dajmy na to Główny Dyrektor Szerzenia Zachwytów i Podziwów. Stanowisko odpowiedzialne i wymagające bezwarunkowo odpowiedniej atmosfery, więc nic dziwnego, że ma w pokoju 14 portretów Wodzów. Ma też biurko, i na biurku trzy telefony, które dzwonią bez przerwy. No i naturalnie różowe firanki. Zgadza się pan ze mną?

— Zgadzam się z każdym pana słowem — odrzekłem, bijąc się w piersi.

— Merci. Słuchaj pan dalej: na tym samym piętrze w „Polonii" mieszka w innym pokoju dygnitarz znacznie mniejszej wagi. Ile portretów Wodzów ozdabia jego pokój? Nie więcej jak sześć.

— Osiem — powiedziałem błagalnym głosem.

— Siedem — i ani słowa więcej, bo się rozłoszczę! Siedem portretów i zaledwie jeden telefon, który prawie nigdy nie dzwoni, który uporczywie milczy, jak... jak co?

— Jak Wanda Wasilewska — odrzekłem. — Bo o pani Wasilewskiej też już dawno nic nie pisało w gazetach.

— Dobrze. Doskonale. Teraz idziemy dalej. Pewnego wieczoru Dyrektor Szerzenia Podziwów i Zachwytów myli się, bo na drzwiach nie ma numerów i włazi do pokoju dygnitarza mniejszej wagi. Spostrzega naturalnie od razu tragiczną pomyłkę i wycofuje się na korytarz z okrzykiem „pardon!" ale na drugi dzień dygnitarz mniejszej wagi też się myli i wbiega do pokoju Głównego Dyrektora! A tu już zwyczajne „pardon" nie wystarczy, bo, jak mówi przy-

słowie, co wolno księciu to nie tobie, prosięciu, albo też co wolno wojewodzie, to nie tobie, marny smrodzie, więc Główny Dyrektor wylatuje za pomniejszym dygnitarzem na korytarz, i zdziela go mokrą ścierką przez głowę, żeby mu dać szkołę. Robi się pisk, krzyk i wielka awantura. Więc co zrobić, żeby tego uniknąć?

Dyrektor Hukacz wlazł pod łóżko, mówiąc że się musi skoncentrować, ale już po chwili wylazł z drugiej strony i powiedział:

— Znalazłem sposób. Numery na drzwiach w hotelu „Polonia“ zastąpimy różnymi godłami. Na drzwiach Głównego Dyrektora Szerzenia Zachwytów i Podziwów wisieć będzie szyszka. Pomniejszy dygnitarz będzie miał na drzwiach liść powoju albo bluszczu, bo te rośliny, jak wiadomo, istnieją tylko poto, aby upiększać wysokie dęby. Inni powieszą sobie na drzwiach kasztany, żołędzie, albo też liście figowe — w zależności od wypadku i pełnionych przez nich funkcji.

— Brawo! — zawołałem. — Teraz nie mam już żadnych zastrzeżeń!

I zaraz pobiegłem do stolika, żeby napisać odpowiedni dekret. Przy tej pracy trochę się zdrzemnąłem i zobaczyłem bardzo zabawny sen. Wydawało mi się, że jestem w moim rodzinnym Krakowie, i że czekam na przystanku na autobus. Autobus nadchodzi, naturalnie bez żadnego numeru, bo cyfry są zniesione. A ponieważ nie wolno liczyć, więc każdy pasażer płaci konduktorowi ile chce i może. Jeden pan daje mu chiński grosz, inny dwa gwoździe, a jakaś starsza pani żółtą różę. Nikt nie wie, dokąd autobus idzie, ale to też nikogo nie martwi. Tylko że nagle na platformie robi się wielka awantura, bo jakiś podejrzany typ krzyczy na cały głos:

— Trzy i trzy to sześć!

Więc od razu widać, że warchoł, faszysta i anarchista, który nie uznaje dekretów i robi sobie drwinki z Władzy. Ściągają go ma się rozumieć za kołnierz i prowadzą gdzie należy, a on wymachuje pięścią i znowu krzyczy, że cztery i jeden to pięć.

No ale z takimi wrogami Demokracji jakoś sobie poradzimy.

III.

Dyrektor Hukacz zaproponował mi dzisiaj, żeby urządzić w naszym szpitalu konferencję międzynarodową różnych zjednoczonych i nie zjednoczonych narodów. Zgodziłem się na to bez wahania. Konferencje międzynarodowe są ostatnio w modzie, i miano by nam na pewno za złe, gdybyśmy się nie przystosowali do mody.

— Nie wiem tylko — rzekłem — skąd weźmiemy resztę delegatów. Poziom umysłowy osób, dzielących z nami salę nie jest niestety bardzo wysoki.

— Zapomina pan o Stydniku — odparł Hukacz. — Możemy zaprosić na konferencję Stydnika. Trzy osoby w zupełności wystarczą. Najważniejsze sprawy najlepiej się załatwia najpierw w małym gronie, i dopiero potem w większym.

Poszedłem wobec tego po pana Stydnika. Pan Stydnik jest bardzo małomówny. A właściwie nawet nic nigdy nie mówi, tylko wydaje takie dźwięki jak kaczka, ponieważ mu się zdaje, że jest kaczką, pływającą po stawie. Ale dyrektor Hukacz powiedział, że to nic nie szkodzi.

— Uważam posiedzenie za otwarte i udzielam głosu samemu sobie — oświadczył dyrektor Hukacz, kiedy przyprowadziłem do jego łóżka Stydnika. —

Mamy na porządku dziennym sprawę tulipanów oraz Hiszpanii. Wypowiem się najpierw w sprawie tulipanów. Zakomunikowano mi, że w Holandii pewnemu rodzajowi tego pięknego kwiatu nadano nazwę „Generalissimus Stalin". Czy możemy puścić to płazem?

— Kwa, kwa — rzekł pan Stydnik, co mogło oznaczać że popiera przedmówcę, albo też że go nie popiera.

— Jestem tego samego zdania — rzekł dyrektor Hukacz. — Stawiam wniosek, aby nie jeden, lecz wszystkie rodzaje tulipanów otrzymały nowe nazwy. Bo inaczej zrodzą się zupełnie uzasadnione podejrzenia i obawy, zatruwające atmosferę. I dlatego połowa tulipanów ma się nazywać tak, jak to postanowiono w Holandii, a druga połowa musi się nazywać Marszałek Tito. Resztę tulipanów oddamy panu Popielowi. Wniosek jednomyślnie przyjmuję i przechodzę do następnej sprawy. Kategorycznie żądam, aby zaprowadzono tam wolność prasy. To znaczy żeby każdy mógł pisać co mu się żywnie podoba bez żadnej cenzury. A co do rządu, to niech się odbędą wybory. Tylko bez żadnych wspólnych list wyborczych, bo to uważam za kawał. Każda partia niech sobie wystawi swoją listę, i niech każdy głosuje jak mu się podoba. No i naturalnie jeżeli większość wypowie się przeciwko rządowi, to w takim razie rząd nie ma racji bytu i musi się podać do dymisji. Wszyscy polityczni aresztowani mają być zwolnieni. Wybory mają być uczciwe, nie na bujdę. Tom go urządził, co?

— Kogo? — zapytałem.

— Jakto kogo? Generała Franco! A pan myślał, że kogo?

— Kwa, kwa — odpowiedział za mnie małomówny pan Stydnik.

— Zupełna racja — rzekł dyrektor Hukacz. — Czy mają panowie jeszcze jakieś wnioski?

— Chciałbym poruszyć sprawę Jugosławii — powiedziałem. — Wyczytałem w gazetach, że intrygi UNRRY są tam znowu na porządku dziennym. UNRRA przywiozła do Jugosławii żywność, naturalnie dzięki Marszałkowi Tito, więc załadowano żywność na ciężarówki i na ciężarówkach napisano wielkimi literami: „podarunek Marszałka Tito". Niektóre ciężarówki posłano podobno do Triestu, niektórych nie posłano. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie dziennikarze, którzy się tam kręcą bez żadnego powodu i ciągle wszystkim pokazują swoje amerykańskie paszporty. Dziennikarze napisali w gazetach, że te napisy na ciężarówkach nie odpowiadają ich życzeniom. I jeden amerykański imperialista, którego UNRRA posłała do Jugosławii jako swojego dyrektora bez żadnego powodu, powiedział że się podaje do dymisji. Albo ja, powiedział, albo te napisy. Więc co zrobić?

— Wszystkiemu są winni dziennikarze — rzekł dyrektor Hukacz. — Nigdy nie miałem zaufania do gryzipiórków, i już za czasów Berezy wypowiadałem się w kołach prywatnych w tym sensie, że należało by zabronić raz na zawsze pisania książek. Te same poglądy wypowiadałem potem w Londynie, kiedy przy pomocy sprytnie rozstawionych sieci wciągnięty zostałem na Stratton, gdzie uszczuplałem jak mogłem kasę londyńskich landlordów z nad Wisły. Dzięki dodatkom na reprezentację uszczupliłem wyżej wymienioną kasę dosyć poważnie, za co od obecnego rządu w Warszawie należą mi się trzy Krzyże Walecznych. Proszę o nadanie mi ich w najbliższą środę.

— Kwa, kwa — odezwał się znowu pan Stydnik, co niewątpliwie miało oznaczyć, że chce być obecny przy tej ceremonii.

— Nie udzieliłem panu głosu — rzekł ostro dyrektor Hukacz. — Niech pan siada. A wobec tego, że już pan siedzi, niech się pan położy. Ale nie na łóżku, tylko pod łóżkiem, zgodnie z paragrafem 118 przez nikogo nie przyjętego traktatu jałto-teherańsko-paryskiego.

Wepchnęliśmy pana Stydnika pod łóżko, co przyszło nam tym łatwiej, że nie stawiał żadnego oporu. Obrady toczyły się dalej. Dyrektor Hukacz, którego bardzo zirytowały amerykańskie intrygi w Jugosławii, wrócił do spraw literackich:

— Nigdy nie rozumiałem i nie rozumiem, dlaczego i po co pozwalają rozmaitym wątpliwym elementom pisać artykuły, albo też powieści. Gdyby chodziło o kalendarze, albo inne pożyteczne wydawnictwa, nie miałbym naturalnie zastrzeżeń. Komunikują mi jednak, że nawet w obecnej Polsce pewne osoby, zamiast cyrkularzy i rozporządzeń, pisują — niech pan zgadnie co? — wiersze! WIERSZE!

— Wiersze, panie Hukacz, też mogą być czasami bardzo pożyteczne — rzekłem nieśmiałym głosem. — Rzadko, ale mogą. Na przykład niedawno jeden pan Przyboś dostał w Polsce pierwszą nagrodę za swoje utwory. Więc jak mu dali nagrodę, to widocznie się przyczynił.

— Kwa, kwa — powiedział pan Stydnik spod łóżka.

— Pan Stydnik, jak pan słyszy, popiera w zupełności moje stanowisko. Chciałbym z tego skorzystać i odczytać panu wiersz patriotyczno-erotyczno-liryczny własnego pióra. Nie jest wcale gorszy od utworów pana Przybosia, i ożywia go ten sam duch. Może i mnie dadzą jaką nagrodę? Jeśli nie pierwszą, to choćby drugą?

— Odczytaj pan wiersz, to zobaczymy — rzekł dyrektor Hukacz.

Wyciągnąłem z buta, bo tam zawsze chowam najcenniejsze moje utwory, mój krótki szedewr i odczytałem:

Wychodzę na pagórek

Fantazja liryczna poety Ignacego Szczypiórka

Rozmaicie i różnie w moim życiu się działo:
Raz na deszczu czekałem na kochankę pod oknem
Kochanka za firanką ironicznie wzdychała
Ja zaś mokłem w rozpaczy, w mym zwątpieniu okropnym.

Zapomniane to czasy. Nie ma dziś do nich rymu.
Kochanka... (Czy kochanka? Bo do tego nie doszło)
Na maszynie pisała dla starego reżymu
Raniąc me przekonania, trując miłość mą gorzką,

Ale dzisiaj po znoju, po zwątpieniach, po burzach
Wstępuję na pagórek, jasny różową zorzą!
Ma niedoszła kochanka i dziś na klawiaturze
Wystukuje swe rytmy, chyli główkę swą hożą.

Ale już nie dla tamtych! Dla innych! Dla nowych!
O, jakże ta świadomość me piersi rozsadza!
I pełen jestem myśli, radosnych, ludowych,
Bo moja dziś kochanka — to NASZA NOWA WŁADZA!

Dyrektor Hukacz powiedział, że wiersz całkowicie popiera. A pan Stydnik krzyknął głośno spod łóżka:

— Kwa, kwa, kwa!

Więc widocznie i jemu mój wiersz bardzo się podobał!

IV.

Pokłóciłem się dzisiaj z b. dyrektorem Hukaczem i nawymyślaliśmy sobie od wariatów. W tym nie było by ostatecznie nic złego, bo przecież zarówno jego jak i mnie trzymają już od roku w domu obłąkanych, ale Hukacz powiedział mi, że ja jestem wariat a on nie, co mi się bardzo nie podobało.

Zaczęło się wszystko od tego, że przeczytałem w gazecie co tam napisali o hotelach. Napisali, że na jesieni ma się odbyć w Nowym Jorku wielki zjazd Rady Bezpieczeństwa i że z tego powodu zarezerwowali w hotelach coś około trzech tysięcy pokoi dla rozmaitych delegatów. Więc jak to przeczytałem, to mnie wzięła złość, i odzywam się do Hukacza w te słowa:

— Wymyśliłem jeden projekt i zaraz go panu wyłożę. Zamiast tych trzech tysięcy delegatów, sprowadziłbym do Ameryki na ten sam przeciąg czasu głodne dzieci z Warszawy. Bardzo dużo takie dziecko nie zje, bo się już od jedzenia odzwyczaiło, i dużo miejsca też nie zajmie, bo chude, więc możnaby zlekka licząc sprowadzić po trzech bachorów na każdego delegata, czyli innymi słowami dziewięć tysięcy. Albo nawet dziesięć. Dali by im jeść, ubrali jak się należy i jeszcze by każdemu dali ze sobą podarunki. I wydatek byłby mniejszy, i korzyść większa, więc się dziwię, że nikt przedtem nie wpadł na ten pomysł. Co pan na to powie?

— Na taki pomysł mógł wpaść tylko wariat, i ja, jako mąż stanu, muszę pana projekt stanowczo potępić — odpowiedział dyrektor Hukacz. — Już teraz bawi w Nowym Jorku kilka tysięcy urzędników pierwszej klasy, co tu przepisują niesłychanej wagi papierki z adhokami i wieloma odnośnikami dla szanownego Sekretariatu Zjednoczonych Narodów. A niektórzy nawet uczęszczają co drugi dzień na posiedzenia, w celu umożliwienia prasie zamieszczania ich wyśmiechniętych podobizn. Sam ciągle widuję w gazetach te fotografie, więc wiem. Najlepiej mi się zawsze podoba pan Lange. bo ma taki wesoły wyraz twarzy, ale ci panowie co za nim siedzą też są dosyć fotogeniczni, tylko się trochę za mocno pchają na front przy zdjęciach, i z tego powodu nieraz jeden drugiemu zasłoni nos, co jest naturalnie wielką stratą z punktu widzenia polskiej kultury i sztuk pięknych. Powinni im dać rozkaz, żeby w piątek jeden się wypychał naprzód, a we wtorki znowu inny, toby wtedy był porządek i sprawiedliwy podział dóbr ekonomicznych. Ale to jeszcze wcale nie wszystko, bo niedawno pan Lange powiedział przez mikrofon na posiedzeniu, że Hiszpania to nie Polska i że się nigdy nie zgodzi, a potem pan Gromyko trzy razy zawołał „veto“ i podniósł do góry prawicę, i obecnie generał Franco ma się tak samo jak się miał. Więc tu już pan ma doniosłe rezultaty międzynarodowych obrad, i niech pan zważy, że zostały one osiągnięte przy udziale zaledwie kilku tysięcy urzędników. Więc jak przyjedzie jeszcze trzy tysiące, to już sama matematyka wskazuje, że rezultaty będą conajmniej półtora raza większe.

— Hm — powiadam mu na to, bo niebardzo się lubię kłócić. — Trochę racji to pan może ma, ale tylko trochę. Bo niech pan zważy, że przecież w Paryżu też ma być wielka konferencja. I w Londynie podobno też ciągle

zasiadają. Wczoraj pisało w jednej gazetce, że znowu założyli kilka dodatkowych komitetów i komisji, i nawet wydrukowali spis, gdzie która zasiada. A ten spis zajął prawie pół stronicy.

— Paryż swoim porządkiem, a Londyn swoim porządkiem — rzekł dyrektor Hukacz. — A Nowy Jork znowu swoim porządkiem. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego, a raczej ma, ale to nie pana interes. Czy nie zostało panu trochę kawy z rannego śniadania? Chciałbym wlać ją sobie do lewego ucha, bo nie jestem pewien, czy to czasem nie pomaga na odciski.

Dyrektor Hukacz wlał sobie kawę do ucha, ale mu to nie pomogło, bo widocznie wlał za mało. A że nie miałem więcej kawy, wróciliśmy do rozmowy na tematy polityczne.

— Czytałem też w gazecie — powiedziałem — że tym wszystkim delegatom i ich sekretarzom płacą bardzo duże pensje. Gazeta napisała, że każdy z nich dostaje conajmniej pięć razy tyle, ile zarabia amerykański robotnik. Porównali to naturalnie z zarobkami amerykańskiego robotnika, a nie polskiego, bo polski robotnik zarabia obecnie tak ogromne pieniądze, że wszelkie porównania spaliły by na panewce. Czytałem o tych zarobkach w jednej warszawskiej gazecie, i aż mi duch zaparło z zachwytu. Jednakowoż swoją drogą chciałbym pana zapytać, czyby się pan nie zgodził na zmniejszenie pensji tych stu tysięcy delegatów z pomocnikami, bo już niedługo chyba ich liczba dojdzie do stu tysięcy, a może nawet już doszła?

— Nigdy! — zawołał dyrektor Hukacz, tupiąc ze złości nogami. — Nigdy się na to nie zgodzę! Pana propozycja wskazuje, że nie ma pan pojęcia o dyplomacji! Delegaci muszą dostawać dobre pensje, bo w przeciwnym razie brali by łapówki!

— No to co? — rzekłem. — Niech biorą. Jak kto taki głupi, że im da, to niech biorą.

— Ha, ha, ha! — zawołał dyrektor Hukacz. — Trzymaj mnie pan, bo pęknę ze śmiechu i z oburzenia! Czy zdaje pan sobie sprawę, czym to grozi? Wyobraźmy sobie na chwilę, że jakiś delegat, przez wzgląd na swoją skromną pensję, weźmie łapówkę. Pięknie. Ale za łapówkę, drogi panie kolego, coś trzeba zrobić. Za darmo panu nikt łapówki nie da. Więc taki delegat siądzie panu w swoim hotelowym pokoju, zamknie drzwi na amerykański zamek z alarmowym dzwonkiem, postawi na korytarzu czterech sekretarzy żeby go kto nie podpatrzył, i napisze zdradziecki paragraf 289 międzynarodowej umowy o rybołówstwie. Inni delegaci, tak samo jak i on przekupieni, przegłosują panu ten paragraf zanim się pan obejrzał i za nim czujny pan Gromyko zdąży złożyć veto — i paragraf 289 wejdzie w życie we wszystkich wodach świata! A cóż będzie w tym paragrafie napisane? Ni mniej ni więcej, jak tylko że karpie wolno łowić wyłącznie w poniedziałki, rekiny po Wielkiejnocy, a śledzi w ogóle nie wolno! Co pan wtedy zrobi?

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Musiałbym się wpierw namyślić.

— Ale to jeszcze nie wszystko, ciągnął dalej dyrektor Hukacz. — Obniżyć pensji delegatom i ich pomocnikom nie można także i z tego względu, że każdy z nich musi się dobrze prezentować. Dotyczy to zwłaszcza i w pierwszym rzędzie naszych polskich przedstawicieli. Muszą koniecznie mieszkać w najlepszych hotelach i jadać w najlepszych i najdroższych restauracjach, bo w przeciwnym razie ktośby mógł pomyśleć, że Polska jest biednym krajem. A na to

zgodzić się w żadnym razie nie mogę. Chyba po moim trupie, panie Szczypiorek, chyba po moim trupie! Możeby pan jeszcze chciał, żeby jaki nasz delegat jeździł po mieście tramwajem? I żeby go wyszpiegował płatny agent jakiegoś obcego rządu i doniósł gazetom, że nasz delegat jeździ tramwajem? A nie limuzyną, jak olbrzymia większość ludności w Polsce? Cóżby to była za szalona kompromitacja! Serce mi się kurczy na samą myśl o tym. I to w chwili kiedy Polska ubiega się o pożyczkę! Nie, panie Szczypiorek — z panem doprawdy można zwariować, i gdyby nie to, że zwariowałem już przedtem, zwariowałbym napewno teraz. Nie ma pan jeszcze kropli kawy? Chciałbym sobie ufarbować rzęsy na zielono.

— Nie mam. Więc sądzi pan, że z mojego projektu sprowadzenia do Ameryki warszawskich dzieci nic nie wyjdzie?

— Jestem tego pewien. I nawet nie radzę panu nic mówić naszemu doktorowi, bo zaraz zobaczy, żeś pan wariat. I będą pana tu trzymali do końca życia.

Na tym rozmowa się skończyła. Westchnąłem cichutko i postanowiłem posłuchać rady Hukacza, bo może rzeczywiście tylko wariaci mogą mieć takie pomysły?

Wacław Solski

NOTATNIK BIBLIOGRAFICZNY

ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ 1939 — 1945. Paryż 1945. *Opracował dr Stanisław Lam.* Księgarnia Polska w Paryżu. Str. 317.

W zakończeniu słowa wstępnego do *Antologii Poezji Polskiej* pisze dr Stanisław Lam: „Zbiór ten jest pierwszym największym i najbardziej co do zasięgu wszechstronnym. Obrazuje on całą wojenną poezję polską we wszystkich jej rodzajach i podaje wszystkich najwybitniejszych reprezentantów, gdziekolwiek by oni nie byli. Niektórzy poeci przemawiają tu kilku utworami, inni tylko jednym, dla nich najbardziej charakterystycznym, ale nie chodziło w tym zbiorku o ilość, ale o jakość poezji". Nieco dalej wyraża dr Lam nadzieję, że na podstawie zebranych przez niego wierszy będzie mógł kiedyś historyk literatury wydać sąd o wojennej poezji polskiej.

Słuszność tych wszystkich cytowanych zdań musi jednakże zostać zakwestionowana, a to z uwagi na nieco wyżej podaną przez samego redaktora antologii informację, że ze względu na sytuację powojenną dysponował on nie wszystkimi, lecz tylko przypadkowo mu dostępnymi wierszami.

Ta sprzeczność pomiędzy oświadczeniami dr Lama zmusza krytycznego czytelnika do postawienia sobie pytania, czy *Antologia* może być uważana za prawdziwy przekrój całej wojennej twórczości poetyckiej polskiej, czy też jest ona po prostu bezpretensjonalną wiązanką wierszy wojennych. Odpowiedź na to pytanie można dać dopiero po sprawdzeniu, czy o doborze wierszy naprawdę decydowały wymienione wyżej kryteria, t. zn. czy rzeczywiście są zawarte w *Antologii* próby wszystkich rodzajów poezji wojennej polskiej, czy spotyka się w niej nazwiska wszystkich najwybitniejszych reprezentantów i czy wybrane zostały najlepsze wzgl. najcharakterystyczniejsze utwory odnośnych autorów.

Badania nasze rozpoczniemy od przejrzenia spisu rzeczy, ku któremu przenosimy naszą uwagę zajętą dotychczas wstępem. Mimochodem tylko spostrzegamy, że krótka charakterystyka wojennej poezji polskiej zajmująca we wstępie str. 7—11 budzi szereg zastrzeżeń.

W spisie nazwisk szukamy — rzecz zrozumiała — przede wszystkim kogoś znajomego, a że jesteśmy w Szwajcarii, więc patrzymy, jakich tutaj działających polskich poetów uwzględnił dr Lam. Polska emigracja w Szwajcarii prowadziła podczas wojny żywą działalność wydawniczą, mamy więc prawo oczekiwać, że jakieś wydawnictwa dotarły do dr Lama. Ale nie. Nie spotykamy w spisie nazwisk żadnego poety ze Szwajcarii, nawet Brzozowskiego czy Czyżowskiego. A wszakże nie tylko walory literackie twórczości tych dwóch poetów ale ich „specjalizacja" poetycka kwalifikują ich do *Antologii.* Napół żołnierz-gawędziarz, napół epik, jakim jest Czyżowski, mistrz obrazu, symbolu i — rzec by można — „chłopskiej" lapidarności wyrazu, to typ poety, którego napróżno szukam pomiędzy współczesnymi poetami polskimi. I tak samo napróżno szukam poety-filozofa, który by w obecnej wojnie widział zagadnienie większe niż nieszczęście osobiste lub tragedię narodową. Tę wyżynę myśli osiągnął — coprawda dopiero w ostatnich swoich wierszach — Jerzy Brzozowski. Tak więc na najlepiej mi znanym, bo z „własnego ogródka" szwajcarskiego zaczerpniętym przykładzie mogę się przekonać, że *Antologia* obejmuje nie wszystkie najważniejsze rodzaje poezji.

Nie mogę się również zgodzić, że dr Lam wybrał utwory jakościowo najlepsze i najbardziej charakterystyczne. Ktokolwiek czytał *Przystanek nazywał się Szkocja* czy inne wiersze Jana Rostworowskiego ten wie, że *Romantyczność* (jedyny utwór zamieszczony w *Antologii*) nie jest utworem dla Rostworowskiego w pełni charakterystycznym. Jego specjalnością poetycką jest wypełnienie prostej, płynnej formy przejrzystymi, zawsze pogodnymi obrazami; program ideologiczny jest u Rostworowskiego z reguły pozytywny, skierowany ku przyszłości. Z tego wszystkiego widać w *Romantyczności* tylko charakterystyczną formę. Innym pokrzywdzonym w *Antologii* autorem jest np. Stanisław Baliński, który wprawdzie jest reprezentowany przez wiele wierszy, ale nie przez wiersze najlepsze czy choćby dla niego najtypowsze. Baliński jest autorem *Poranku Warszawskiego* — najlepszego spomiędzy wielu mi znanych poematów o Warszawie przedwojennej. O ile wiem, jest to także jeden z najwcześniej powstałych poematów na ten temat i inne u innych autorów są od niego w znacznym stopniu zależne. Dlatego odczuwam brak przynajmniej fragmentu *Poranku Warszawskiego* w *Antologii.* Mógłby się on ukazać choćby kosztem analogicznego a słabszego poematu innego autora na str. 30 i n.

Możnaby takie zastrzeżenia stawiać i w odniesieniu do innych poetów, np. Tuwima. Pomińmy jednak mnożenie tego rodzaju przykładów, bo nasuwa się nam spostrzeżenie waż-

niejsze, dotyczące nie tych wierszy, których brak, ale tych, które zostały niepotrzebnie umieszczone. Mój Boże! któż z nas nie pisał podczas wojny wierszy! (zwłaszcza kiepskich wierszy!). Ale tego rodzaju twórczość zasługuje na uwagę tylko z psychologicznego czy obyczajowego, nie zaś z literackiego punktu widzenia. Oczywiście w tej okolicznościowej literaturze rymowanej można napotkać czasem coś frapującego tematem albo szczerością jego ujęcia, czy też głębią myśli albo organiczną doskonałością formy. Takie wiersze trzeba wyłowić spomiędzy utworów innych, nieudolnych czy nieudałych, stale przetrawiających te same tematy — a jest tych utworów całe morze. Wyłowienie takie jest bardzo trudne i nic dziwnego, że w *Antologii* dano nam także pokosztować wody z owego morza. Trudno nam zresztą robić z tego powodu poważny zarzut redaktorowi. Ale oprócz tego spotykamy w *Antologii* wiersze może nawet i oryginalne w ujęciu tematu ale zupełnie chybione. Mam na myśli np. wiersz o *Podróży ś-go Piotra* (str. 184 i n.), w którym autor łączy opis ginącej Warszawy z obrazem nieba wzorowanym na żartobliwej strofce Sabały wzgl. na analogicznych wesołych wierszykach legionowych, z czego powstaje całość wręcz nietaktowna. Są tematy, których nie wolno żartobliwie przedstawiać. *Antologia* zawiera i inne zdaniem naszym godne zapomnienia wiersze.

Tak więc zawartość *Antologii* nie odpowiada zamierzeniom dr Lama cytowanym na początku recenzji. Tu jednak trzeba sobie uświadomić, że te braki *Antologii* są w znacznym stopniu usprawiedliwione stosunkami, w których ona była wydawana. Od pracy literacko-krytycznej, wykonywanej na gorąco, w pośpiechu, bez możności uzyskania właściwej perspektywy nie można wymagać pełnego obiektywizmu i dojrzałości sądu. Dr Lam te braki *Antologii* sam przeczuwał, jak tego dowodzą słowa jego na 12 stronie wstępu.

Musimy jednak sformułować i inne zarzuty, których nie można zneutralizować wskazaniem na warunki towarzyszące redagowaniu *Antologii*. Np. zaniedbał dr Lam zupełnie wskazać nam źródła, z którego czerpał materiały. W normalnych okolicznościach było by to zbędne, gdyż sami autorzy mogli by przeprowadzić kontrolę tekstów. Ale gdy się cytuje wiersze według jakichś czasopism, gdzie się one pojawiają może już także w dalszym przedruku, wtedy musi się przez lojalność wobec autora i czytelnika wskazać na pochodzenie danej wersji wiersza. Konieczność ta jest tym większa, że redaktorzy pism np. wojskowych bez najmniejszych skrupułów „poprawiali" nadesłane im wiersze (znamy praktyki *Gońca Obozowego* w pewnym okresie jego istnienia!). Braku oznaczenia źródeł nie da się usprawiedliwić. Dodajmy, że oznaczenie źródeł umożliwiłoby czytelnikowi przynajmniej przybliżone ustalenie okresu, w którym dany wiersz powstał. Czas powstania wiersza odgrywa ogromną rolę w jego ocenie (zwłaszcza, gdy w wierszu podkreślone są momenty treściowe a nie formalne) a przede wszystkim w zrozumieniu osoby twórcy przekazującej się nam w wierszu. Ustalenie choćby aproksymatywnej chronologii pozwoli czytelnikowi np. zauważyć, że Wierzyński był w wielkim stopniu prowadzącym duchem, że wskazywał drogi innym poetom. A to nie jest rzecz obojętna dla kogoś, kto chce zrozumieć rozwój wojennej poezji polskiej.

A dalej: jest godną pielęgnacji tradycją, że w antologiach podaje się elementarne dane o cytowanych poetach — oczywiście wzmiankując tylko te momenty, które są istotne dla pełniejszego zrozumienia wierszy. Np. jesteśmy skłonni wybaczyć depresję ideologiczną i cofnięcie się formalne Słonimskiemu, gdy się dowiemy, że autor sam uważa swoje wiersze wojenne za twórczość „wieku klęski", a więc okresu załamania się, rezygnacji. Wydaje mi się, że obowiązkiem redaktora *Antologii* było by ostrzec o tym czytelników, którzy zasugerowani rozgłosem *Alarmu* gotowi brać wszystkie wiersze Słonimskiego za ideologicznie pozytywne wzgl. podniosłe.

Udzielenie informacji o autorach jest także i z tego względu niezbędne, że w czasie wojny wypłynęła wielka ilość mało znanych dla ogółu nazwisk, np. nazwisko Putramenta, które w *Antologii* podpisane jest pod dwoma wierszami o niespodziewanie oryginalnej, zastanawiająco dojrzałej i świadomej formie. Te same wiersze odskakują także i pod względem nastawienia autora wobec zagadnienia wojny od utworów innych poetów. Czytelnik ma prawo oczekiwać od redaktora *Antologii* kilku słów wyjaśniających te zastanawiające kontrasty.

Układ wierszy w *Antologii* nie jest przekonywujący. Dr Lam ułożył je nie według ich treści, nie według czasu i miejsca ich powstania, nie według ich przeznaczenia dla pewnego środowiska, nie według ich stylu, nie według ich wartości, tylko, rzecby można, według tego, jaki był stosunek ich autorów do służby wojskowej: osobno zgrupowane są wiersze uchodźców cywilnych, osobno wiersze żołnierzy aktywnych w armiach na Zachodzie Europy, dalej wiersze jeńców wzgl. więźniów i mieszkańców obozów koncentracyjnych i wreszcie utwory „Polski podziemnej". Oczywiście — trzeba to przyznać — ułożenie wierszy różnych autorów według jakichkolwiek rzeczowych kryteriów (których musi być zawsze kilka naraz) jest rzeczą trudną. Niby też nie szkodziło w ogóle zrezygnować z takiego ułożenia rzeczowego, zostawić układ np.

alfabetyczny i poprzestać na zaopatrzeniu *Antologii* w indeks porządkujący wiersze według stosownych kryteriów. Brak indeksu utrudnia ogromnie korzystanie z *Antologii*. Trzeba pamiętać, że ma się ona znaleźć przede wszystkim w rękach organizatorów życia kulturalnego w obozach, w rękach redaktorów różnych pism itp. i musi ich zaopatrzyć w potrzebny im materiał, musi nasunąć im nowe myśli i projekty, musi pomóc w wyrobieniu właściwego sądu, musi zorientować w całości zagadnienia. Jednym z celów antologii w dobie obecnej jest także: pobudzać życie kulturalne i ułatwiać kształcenie smaku literackiego w tych kołach polskich, które są zaniedbane pod względem oświatowym. Zdaniem naszym nie wystarczy, by czytelnik przerzucał karty *Antologii* „z pełnym wzruszeniem, jako pamiętnik duszy własnej spięty złotą klamrą, skrzącą się brylantami łez (...) i rubinami krwi", jak tego pragnie dr Lam; większość dzisiejszych czytelników musi się przy pomocy *Antologii* u c z y ć poezji, p o z n a w a ć p i ę k n o. Poezja Polski walczącej zwraca się przede wszystkim do ludzi aktywnych a nie do biernych poszukiwaczy wzruszeń. Uderza nas znikomy procent wierszy czułostkowych we współczesnej poezji polskiej; punkt ciężkości leży na zagadnieniach ideologicznych, a więc na tym momencie, który apeluje do intelektu czytelnika a w małym tylko stopniu do jego sentymentów i nastrojów. Właśnie dzięki temu poezja Polski walczącej jest poezją wielką (nawet w wierszach formalnie nie w pełni doskonałych). Dlatego wydaje mi się, iż obowiązkiem redaktora *Antologii* jest udostępnić czytelnikowi zrozumienie wierszy, prowadzić go przez krainę poezji, wskazywać mu zagadnienia. Nie należało by dokonywać tego wprost, np. przez komentarze do wierszy, ale w inny, dyskretniejszy sposób — najlepiej właśnie w formie indeksu porządkującego poszczególne utwory według ich tematu, chronologii ich powstania, środowiska z którego wyrosły, nastawienia etycznego autora itp. Samo takie zestawienie pokazałoby czytelnikowi np. że ludzie walki, żołnierze (zwłaszcza żołnierze armii podziemnej) nigdy niemal nie mówią o zemście — o uczuciu ludzi uważających się za pokonanych — i nigdy niemal nie obsypują wroga przezwiskami i przekleństwami, nie używają tej broni ludzi biernych i słabych. Natomiast takie tematy wypływają u innych autorów — pomiędzy wybitnymi u Tuwima i Słonimskiego — którzy byli z tych czy innych powodów skazani na inercję. Dobrze by było, gdyby *Antologia* ułatwiała czytelnikowi dostrzeżenie takich i innych momentów; wypełniła by ona przez to w sposób najbardziej taktowny i skuteczny misję podnoszenia kultury ducha, misję, od której nie może się uwolnić w dobie obecnej żaden polski autor i żadne polskie dzieło.

Wszystkie postawione wyżej zarzuty nie zmieniają faktu, że *Antologia* dr Lama przez samo swoje istnienie odgrywa w polskim życiu kulturalnym rolę bardzo pozytywną i bardzo ważną. Nie można dr Lamowi odmówić tej wielkiej zasługi, że wystąpił z inicjatywą opublikowania antologii i że zamierzenia swojego dopiął mimo bardzo trudnych warunków wydawniczych, dzięki czemu udostępnił szerokiemu ogółowi utwory takich wielkich poetów jak W i e r z y ń s k i, B r o n i e w s k i, B a l i ń s k i, Ł o b o d o w s k i itp. Pragnąć jednak należy, by przy redagowaniu następnych wydań *Antologii* — a wydania takie napewno będą potrzebne — zostały z niej usunięte braki istniejące obecnie. *Zygmunt Estreicher*

LUDWIK BRONARSKI: *Etudes sur Chopin, Collection „Culture Européenne", Cultures Nationales, Pologne No 3*, Editions La Concorde, Lausanne, 1946, str. 175.

Jest to już drugi skolei (a, jak można przypuszczać z pewnych zapowiedzi, jeszcze nie ostatni) tom studiów poświęconych przez Ludwika Bronarskiego Chopinowi w cyklu prac wydawanych przez F. L. Schoell'a i poświęconych polskiej kulturze. Tom pierwszy omówiłem szczegółowo w VII-mym numerze „Pamiętnika Literackiego" (str. 105-108) i do tej recenzji odsyłam w sprawach związanych z ogólną oceną badań Bronarskiego. Tu ograniczam się jedynie do kilku szczegółowych uwag związanych z problemami poruszonymi w drugim tomie. Zawiera on cztery obszerniejsze studia, z których trzy ostatnie są rozszerzonym i częściowo przerobionym przekładem francuskim artykułów, jakie się ukazały przed wojną, po polsku w „Kwartalniku Muzycznym" i „Muzyce", Wobec tego, iż chodzi o bardzo ważne dla chopinologii przyczynki, należy być wdzięcznym autorowi i wydawnictwu za udostępnienie tych rozpraw publiczności zachodnio-europejskiej.

Z pośród tych „reprodukowanych" studiów na pierwsze miejsce wysuwa się szczegółowy rozbiór stosunku Schumanna do twórczości Chopina. Jest to rozprawa, której znaczenie przerasta ramy chopinologii, gdyż rzuca światło nie tylko na Chopina, lecz staje się cennym przyczynkiem dla zrozumienia ewolucji muzycznej jednego z największych wielbicieli Chopina na początku, surowego krytyka pod koniec, a przy tym wszystkim największego bodaj pisarza muzycznego wśród sławnych kompozytorów — Roberta Schumanna. Bronarski z właściwą sobie sumiennością i wnikliwością przedstawia linię opadającą reakcji Schumanna na twórczość Cho-

pina, lecz nie ogranicza się do tego kronikarsko-sprawozdawczego punktu widzenia. Stara się również zanalizować — i to jest najcenniejsza część rozprawy — przyczyny, dla których rozwój opinii schumannowskich przebiega w kierunku odwrotnie proporcjonalnym do prawdziwego rozwoju geniuszu chopinowskiego. Odrzucając zdecydowanie hipotezę osobistej niechęci, która mogła by mieć pewne uzasadnienia w nieodwzajemnieniu przez Chopina wylewności, jaką mu okazywał Schumann na początku, i uważając tę hipotezę za niezgodną z charakterem Schumanna i nie mającą żadnych faktów na poparcie, skłania się raczej Bronarski do podkreślenia zasadniczej różnorodności temperamentów artystycznych obu muzyków. Różnorodność ta nie występowała dosyć ostro przy wczesnych utworach Chopina, w których geniusz jego nie wyraził się jeszcze z całą oryginalnością, toteż Schumann łatwiej mógł ocenić te dzieła i znaleźć do nich klucz. Ale podczas gdy Chopin ze zdumiewającą szybkością poszedł naprzód, Schumann w tym samym okresie nie tylko zatrzymał się w miejscu, lecz pod pewnymi względami raczej się cofnął. Uległ też zbyt silnemu wpływowi Mendelsohna, którego twórczość przy całym swym uroku nie stawiała przed krytykiem żadnych nowych problemów. Studium to ma jeszcze jedną niewyrażoną zresztą bezpośrednio wartość. Zwraca uwagę na rewolucyjność i nowatorstwo muzyki Chopina. Jesteśmy tak oswojeni z muzyką Mistrza, że trudno nam nieraz zrozumieć, iż muzyka ta mogła kiedykolwiek sprawiać trudności w zrozumieniu. Ale oto widzimy, że jeden z najwnikliwszych krytyków epoki, sam w pewnym stopniu twórca nowych dróg, zatrzymał się bezradnie przed tym tak bardzo nowym i oryginalnym talentem, nie umiał wspiąć na te same wyżyny, na których obecnie czujemy się wygodnie nie zdając sobie z tego sprawy, jak wysoko nas Chopin prowadzi.

Odpowiednikiem powyższego studium, potwierdzającym jego wnioski, jest krótsza, ale równie interesująca rozprawka o stosunku do muzyki chopinowskiej sławnego pianisty i dyrygenta niemieckiego Hansa von Bülowa. I tu po okresie wielkiego uznania spotykamy w ostatnim okresie życia Bülowa pewne oziębienie w stosunku do Chopina, jakkolwiek oziębienie to nigdy nie dochodzi do tej prawdziwej nienawiści, jaką darzy Bülow Liszta czy Wagnera za ich romantyzm. Obie rozprawki tłumaczą w sposób wnikliwy dlaczego właśnie w Niemczech muzyka Chopina znalazła mniejszy oddźwiek niż w innych krajach.

Bardzo cenne jest studium o reminiscencjach z innych kompozytorów w dziełach Chopina. Zacytowane przykłady reminiscencyj z Bacha, Schuberta, Webera i Rossiniego (Wilhelm Tell), są bardzo przekonywujące. Miał bym natomiast wątpliwości czy podobieństwo głównego motywu Etiudy rewolucyjnej ze wstępem do Sonaty patetycznej Beethovena należy interpretować jako reminiscencję. Sądzę że mamy tu do czynienia raczej z typowym dla całego romantyzmu zwrotem melodycznym, na co zresztą autor zwraca uwagę. Jest w ogóle znamienne, iż mimo skrzętnych poszukiwań nikomu nie udało się wykryć w muzyce Chopina niewątpliwych reminiscencyj z Beethovena. Było by to zresztą dosyć naturalne, gdyż, jak wiadomo, stosunek Chopina do twórczości beethovenowskiej był raczej chłodny. Tym dziwniejsze, że nie znajdujemy u Chopina żadnych reminiscencyj z jego ulubionego kompozytora Mozarta. Może jednak mamy tu ten sam objaw delikatności, jaki sprawiał, że Chopin nie zadedykował żadnego ze swoich utworów osobom najbliższym i najbardziej ukochanym, ani członkom swej rodziny, ani Gładkowskiej i Wodzińskiej, ani wreszcie George Sand.

Właśnie temu problemowi dedykacyj poświęcone jest pierwsze studium książki. Studium to jest dowodem, jak Bronarski potrafi z błahych nawet danych wyciągnąć wnioski cenne dla charakterystyki Chopina. W istocie przegląd dedykacyj chopinowskich jest pod tym względem bardzo wymowny. Uderza w nim obok wspomnianego już braku nazwisk osób najbliższych, brak prawie zupełnie możnych tego świata, z którymi przecież stykał się Chopin bardzo często. Stawia to w pięknym świetle charakter kompozytora, który nie starał się o reklamę, o przychlebienie się, o dodanie swoim utworom wątpliwego a jednak przez innych artystów tak poszukiwanego blasku przez umieszczenie w nagłówku efektownego nazwiska. Nie dedykował Chopin swoich utworów nawet wybitnym przedstawicielom emigracji polskiej, z którymi się ciągle stykał, ani ks. Czartoryskiemu, ani Kniaziewiczowi, ani Mickiewiczowi. Tu decydowały zdaniem Bronarskiego inne względy niż te, które przeszkadzały Chopinowi poświęcać swe utwory monarchom i potentatom. Znalazła tu wyraz skromność kompozytora, który nie uważał swych dzieł za godne, by je dedykować ludziom, dla których miał wielki szacunek i uznanie. Przecież nawet dedykując swoje sławne Wariacje op. 2 Tytusowi Wojciechowskiemu tłumaczy się Chopin, że jedynie przyjaźń upoważniła go do takiej zuchwałości. Tym bardziej był drażliwy na tym punkcie, gdy chodziło o największych jego rodaków.

Konstanty Regamey

HENRI GUILLEMIN. *Les écrivains français et la Pologne.* Genève 1945. Edition du Milieu du Monde. Stron 49.

Prof. Henri Guillemin jest jednym z najbardziej błyskotliwych literatów-uczonych, jakich można usłyszeć, gdy mowa o literaturze francuskiej. Kładę nacisk na słowo usłyszeć, bo właśnie prelekcje to jego największa specjalność. Kto słyszał Guillemina, mówiącego o filozofie z Genewy, o Chateaubriandzie, czy Wolterze, ten musiał być uderzony formą wykładu, umiejętnością przybliżenia, zaktualizowania tematu, niebywałą pamięcią cytat. Technika wysokiej klasy, chciałoby się dorzucić — technika dwudziestego wieku. Do tych cech Guillemina dorzućmy ponadto wnikliwość w szczegóły, upodobanie do interesujących dociekań literackich co np. tak podnosi wartość jego studiów nad Lamartinem. Wszystko to niewątpliwie zachęciło Comité Suisse d'Aide Médicale à la Pologne, by prosić prof. Guillemin o wygłoszenie wiosną 1945 r. w szeregu miast szwajcarskich odczytu o związkach między literaturą francuską a Polską, odczytu, z którego dochód przeznaczony był na cele pomocy Polsce. Prelekcja ta została utrwalona przez autora na piśmie i wydana w formie broszury.

Chcielibyśmy słów parę powiedzieć o tej pracy, zdając sobie sprawę, że nie wyczerpuje ona oczywiście tematu, którego tytuł obiecuje więcej niż daje w rzeczywistości. Mianowicie Autor prawie że nie wspomina — poza znanym faktem zetknięcia się Kochanowskiego z Ronsardem — o związkach literackich francusko-polskich do drugiej połowy XVIII w. W tych warunkach Guillemin ogranicza się do zagadnienia, niewątpliwie zresztą interesującego, jakim jest związek między literaturą francuską a wydarzeniem historycznym, noszącym nazwę *sprawy polskiej*, tej sprawy, która już od dwustu lat interesuje lub tylko usiłuje zainteresować Europę. Broszura jest więc ciekawa nie tyle może zebranym materiałem, którego mogłoby bez trudu być więcej, ile poglądem na pewno życzliwego, inteligentnego Francuza na sprawę polską, jej przyczyny i przebieg.

W pracy nie widać oczywiście ognia twórczego, którego nie można doszukiwać się w studium, powstałym na zamówienie, a nie z inicjatywy autora. Znajdujemy w niej pewne, nawet niekiedy denerwujące naiwności i niedomówienia, ale są tam również poglądy, zasługujące na uwagę. Tak więc Guillemin celem podmalowania tła zagadnienia, daje nam krótki rzut na historię Polski. W rezultacie historia ta nie zawsze odpowiada temu, co my o niej myślimy, ale spełnia inne zadanie, mianowicie informuje nas o tym, jak te wydarzenia interpretuje cudzoziemiec, który specjalnie nie zagłębiał się w źródła z pierwszej ręki, ale czytał to, co było mu udostępnione. Przyczyny rozbiorów leżą więc według Guillemina wyłącznie po stronie samych Polaków, którzy dzięki systemowi trwałej anarchii, eksploatowanej przez możnych, stworzyli napraszającą się okazję dla sąsiadów. Z drugiej jednak strony przyznać trzeba, że Guillemin docenia całą perfidną grę dworu rosyjskiego i pruskiego, dając nam przytem bodaj najciekawsze ustępy swej pracy o roli Woltera i Encyklopedystów w sprawie polskiej.

Osoba Woltera wypada tu najbardziej drastycznie i czytając te kilka stron, nabiera się zupełnego wstrętu do tego nędznego człowieka, który jest gotów sprzedać się każdemu; jego pamflety przeciw Polsce stanowią istotnie godny prototyp współczesnej akcji propagandowej: akcji na zamówienie. Cała kolekcja Encyklopedystów nie odbiegała zresztą daleko od swego Koryfeusza. Diderot, Grimm, idylliczny Bernardin de St. Pierre, wszyscy, dobrze finansowani przez Katarzynę II czy Fryderyka, oddali bez zastrzeżeń swe pióra na rzecz antypolskiej propagandy. Na szczęście trochę świeżego oddechu daje nam stary Jean Jacques Rousseau z jego ciekawymi uwagami o polskim ustroju i projektach reform, zamówionymi przez Wielhorskiego „ministra pełnomocnego Konfederacji Barskiej w Paryżu". Tu również dorzućmy l'abbé de Mably (brata filozofa Condillaca), którego Guillemin pominął, autora obszernej pracy *Du gouvernement et des lois de Pologne.*

Dalsze ustępy broszury, przedstawiające stosunek Francji do sprawy polskiej w epoce porozbiorowej, pozwalają nam raz jeszcze stwierdzić, iż o ile masy społeczeństwa francuskiego (często po prostu ulica paryska) dalekie są od obojętności, reagują na krzywdę Polski, niekiedy nawet burzą się i protestują, jak mogą, o tyle kierownicy polityki francuskiej w imię racji stanu, w obawie przed radykalizmem pewnych kół polskich, zastraszeni samym słowem „rewolucja", odnoszą się do sprawy polskiej niechętnie, wolą ją przemilczeć, nie słyszeć.

Wśród tych, którzy dla sprawy polskiej są oddani, znajdujemy poetów, wielu poetów, idąc poprzez Lamartina, Bérangera, Dalavigne'a, Wiktora Hugo, aż do Paul Claudela, ludzi serca i ideału, jak Montalambert, Lammenais, Michelet, słowem tą część społeczeństwa, która jeszcze umie reagować, kierować się kategoriami moralnymi. Po drugiej stronie znajdziemy ministrów, wielu ministrów, jak Casimir Périer, Sebastiani, Billault, Thiers, bezdusznych legalistów, ludzi pieniądza, wpływów, oportunizmu i kalkulacji. Wydaje się, że od tamtych czasów punkt ciężkości przesunął się nie w najpomyślniejszym dla sprawy polskiej kierunku.

Dodajmy na zakończenie, iż prof. Guillemin uważa za potrzebne zaktualizowanie swego tematu przez dorzucenie kilku uwag o stosunkach polsko-rosyjskich, podkreślając idealizm Mickiewicza i jego sentymenty (acz mamy wątpliwości czy odwzajemnione) do „wielkiej siostry słowiańskiej". Guillemin uważa Polskę nie za bastion, broniący zachodu Europy przed Wschodem, lecz za pomost łączący oba światy. Uwagi te są tym więcej zrozumiałe w ustach autora, że już w pejzażu polskim widzi on równinę, przechodzącą w step — ten ulubiony motyw niejednej powieści francuskiej na polskie tematy.

T. S.

MARC STANISLAS KOROWICZ. *Dix siècles de relations franco-polonaises.* Librairie Polonaise à Paris, 1945, str. 80.

Zwięzła ta broszura ujmuje zagadnienie stosunków polsko-francuskich na 80 zaledwie stronach. Istnieje wprawdzie już kilka opracowań powyższego tematu, lecz są to jednak albo zbyt obszerne dzieła źródłowe, albo broszury zajmujące się tylko pewnymi wycinkami stosunków polsko-francuskich. Niniejsze wydawnictwo wypełnia istniejącą lukę, zajmując się całością tego zagadnienia z punktu widzenia historycznego, opierając się na szczegółowej i rzeczowej dokumentacji, a przytem jest dostępne dla każdego przeciętnego czytelnika.

Autor, pracujący przed wojną na Śląsku i posiadający za sobą już pewną przeszłość naukową, jest ochotnikiem z frontu francuskiego w 1940 r. Po walkach w Wogezach, dostał się do niewoli niemieckiej i przeżył razem z Francuzami kilka lat w Oflagu XVII A. Tam wygłosił kilka pogadanek na powyższy temat, co wywołało zainteresowanie francuskich towarzyszy broni w obozie i z czego dziś powstała niniejsza broszura.

Myślą przewodnią broszury jest teza, że nieszczęścia i klęski, które spotkały w ciągu wieków naród polski i francuski, wyniknęły z tego, iż oba państwa nie umiały równocześnie zsynchronizować swych wysiłków dla stworzenia prawdziwej i trwałej łączności politycznej. Wszelkie wypadki międzynarodowe, szkodliwe lub nieprzychylne dla jednego z tych dwuch narodów, miały prędzej czy później swe reperkusje w drugim kraju. Działając wspólnie, Polska i Francja były zawsze niewzruszonym filarem pokoju w Europie; działając oddzielnie, napotykały na niepowodzenie.

W zakończeniu autor polemizuje z rozpowszechnionym wśród Francuzów zdaniem, według którego Francja traciła często, stając w obronie Polski i że głównie Polacy korzystali ze stosunków przyjaznych między oboma narodami. Autor wskazuje, że Polska i Polacy dali Francji trzy „dary" nieocenione: dar krwi swych najlepszych synów w czasie wojen, dar pracy setek tysięcy polskich robotników i górników oraz dar pieniędzy przez stosunki przemysłowe i handlowe między Polską a Francją oraz przyjazdy turystów i kuracjuszy polskich do miejscowości francuskich.

Dr Tadeusz Stark

MANFRED KRIDL, WŁADYSŁAW MALINOWSKI, JÓZEF WITTLIN. *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków — antologia.* Nakładem „Polish Labor Group", New York 1945, Str. XXIV + 424.

Książka od pierwszych stron do ostatniej jest historyczną legitymacją naszego zespolenia się z postępową i demokratyczną myślą polityczną Zachodu. Czasokres, jaki obejmuje, jest niemały, bo stanowi ponad pięć wieków historii i rozwoju polskiej myśli politycznej: od Aktu Unii Horodelskiej z 1413 roku — poprzez 35 pozycji takich dokumentów jak konstytucje, unie, ustawy, dekrety, akty, manifesty, odezwy, memoriały, rezolucje, deklaracje, apele, oświadczenia, programy oraz poprzez 65 nazwisk polskich filozofów, historyków, ekonomistów, socjologów, pisarzy, publicystów, polityków, mężów stanu i działaczy społecznych — aż do odezwy, wydanej w 1943 roku przez Centralne Kierownictwo Ruchu Mas Pracujących Polski, do bojowników ghetta warszawskiego. W odwołaniu się do historii zwykliśmy zaczynać swoją „demokratyczność" od Konstytucji 3 Maja 1791, gdy tymczasem reformy zmierzające do demokratyzacji naszego życia państwowego i politycznego sięgają wiele lat wstecz, a są nimi: Konstytucja „Neminem Captivabimus", przyznająca szlachcie nietykalność osobistą (Przywilej Jedleński 1430), ustawy radomskie „Nihil Novi" o niewydawaniu konstytucyj bez przyzwolenia panów rady i posłów ziemskich (1505), czy Akt Konfederacji Warszawskiej, przyznający równość praw dla protestantów (1573). Podobnie dziś już nie należy uważać Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej (Ustawa z dn. 17 marca) z 1921 roku za ostatni dokument demokratycznej Polski. Ostatnia część antologii pt.: „Ku nowej Polsce" jest obrazem bardzo ciekawego i ważkiego dorobku polskiej myśli demokratycznej zarówno na obczyźnie jak i przede wszystkim w Kraju. Z tego okresu najciekawszym dokumentem jest Program Polski Ludowej (Sierpień

1941), wydany drukiem w Kraju, a następnie na emigracji w języku angielskim z przedmową A. Greenwooda. Program ten skutecznie zapłodnił Deklarację Rady Jedności Narodowej z dnia 15 marca 1944 roku. Wypracowany przez Polskę Podziemną szeroki program reform społecznych i politycznych został proklamowany w manifeście z dnia 26 lipca 1944, na kilka dni przed powstaniem. Jest to dojrzały owoc politycznej myśli podziemnego ruchu robotniczego, chłopskiego i inteligencji pracującej w Kraju.

Wśród cytowanych autorów można znaleźć ludzi różnych obozów i kierunków ideowych. Nie zawsze bylibyśmy skłonni uważać ich wszystkich za rzetelnych demokratów, ale to zastrzeżenie może ma swoje źródło w dzisiejszym nieco odmiennym wartościowania pojęciu demokracji w ogóle. Zresztą słusznie sami autorzy antologii zaznaczają: „Czytając te karty, o jednym zechce czytelnik pamiętać. Wartość i znaczenie idej mierzy się nie tylko ich treścią, ale i czasem, w którym zostały wypowiedziane“.

Ponadto, gdyby czytelnik doszukiwał się pewnych luk czy „przeoczeń“, trzeba mieć zawsze na uwadze fakt, w jakich warunkach książka ta ujrzała światło dzienne. Autorzy z konieczności musieli ograniczyć się do materiałów, które znaleźli w Stanach Zjednoczonych bądź w Anglii. Materiały te nie były kompletne. Mimo tych zastrzeżeń, płynących z ust samych autorów, należy stwierdzić, że w niczym braki te nie zniekształcają obrazu rzeczywistej linii rozwoju polskiej myśli demokratycznej.

Trudno jest wydzielić na przestrzeni dziejów kto jest katalizatorem przemian społecznych. Jasnym jest, że zarówno ruchy masowe jak i jednostki stwarzają wzajemnie dla siebie odpowiedni klimat polityczny i społeczny dla nowej myśli, reformy. Każdy reformator społeczny musi opierać się na masach, realnie oceniając przygotowanie tych mas do zmian, aby nie stać się utopistą i odwrotnie — wszelki nurt w masach musi znaleźć realne kształty w formie programu, choćby zdefiniowaniu celów czy wartości o które walczy, czy do których dąży, jeśli chce szukać w tym broni przeciwko staremu porządkowi rzeczy, jeśli to ma być realnym wkładem do nowego ładu społecznego.

I tu wracając do książki, trzeba zaznaczyć, że obserwując porządek chronologiczny, dokumenty aktów państwowych czy ruchów społecznych przeplatają się z traktatami i pismami ludzi, którzy w czasach im współczesnych wyprzedzali rzeczywistość społeczną, będąc szermierzami sprawiedliwszego urządzania świata. W ten sposób autorzy dali nam obraz nie tylko tej ewolucji myśli politycznej i społecznej jaka zachodziła w mózgach „pięknoduchów“, ale i świadomej ewolucji i woli zorganizowanych zrazu tylko grup a dalej i mas, które dążyły do reform społecznych, podejmując jednocześnie odpowiedzialność za te przemiany.

Możemy również obserwować, że po Uniwersale Połanieckim z roku 1794 zarówno w okresie przymierza z rewolucyjną Europą jak i w czasach, gdy z „popiołów powstawał mściciel“, w Polsce niepodległej oraz w marszu ku Nowej Polsce poprzez Polskę na emigracji i Polskę Podziemną — wszystko co szczerze demokratyczne nie jest dalekie od socjalizmu, jeśli nie jest samym socjalizmem.

Odezwa organizacji „Lud Polski, Gromada Grudziąż“ z 1835 roku (obecnie: Grudziądz) jest bodajże pierwszym dokumentem z historii polskich organizacji niepodległościowych o wyraźnym jednocześnie zabarwieniu socjalistycznym. Tu zjawia się również pierwsze nazwisko: Stanisław Gabriel Worcell, który był duszą pierwszej polskiej organizacji socjalistycznej pod nazwą „Lud Polski“. I potem już stale narasta cały legion nazwisk, związanych ściśle z polskim socjalizmem. I tak aż do chwil ostatnich. Obok tego indeksu nazwisk zjawia się indeks nazwisk działaczy ludowych. Trudno jest tu wymieniać wszystkie nazwiska i dokumenty, byłoby to niemal powtórzeniem conajmniej obszernego spisu rzeczy. Faktem jest niezaprzeczonym, że wszystko co postępowe, demokratyczne i wolnościowe, wszystko to zbliżyło się do tego, co socjalizm rzucił jako wyzwanie wobec starego ładu społecznego. Cały szereg kierunków, które teraz jeszcze są w walce z socjalizmem, wiele od tego socjalizmu przejęło i przejmie. Dziś obok pojęcia socjalizmu zwykliśmy stawiać jakiś przymiotnik: demokratyczny, humanistyczny, czy jak chcą inni chrześcijański. Jest to dowodem tylko jak socjalizm zapładniał wszystkie prądy społeczne i jak one szukały dla siebie formalnych usprawiedliwień wobec istotnego „socjalizowania się“.

— Poprzez wszystkie strony książki powtarza się hasło: „Za naszą i waszą wolność“. Ostatnia wojna potwierdziła nie poraz pierwszy (i nie ostatni na pewno), żeśmy nieśli wolność innym, nie przynosząc jej sobie. Nie będzie megalomanią twierdzenie, że sprawy Polski nie można traktować odmiennie i uzależniać od koniunktur politycznych. Problem Polski jest problemem zasad i praw, które mają rządzić światem. Wolność i sprawiedliwość jest powszechna, albo jej nie ma wcale. Tu nie ma żadnej neutralności jak w działaniach wojennych.

Sam fakt istnienia pokrzywdzonych stwierdza istnienie krzywdzicieli, a więc brak prawa i istnienie przemocy. Tolerancja takiego stanu rzeczy i absentyzm w walce o zmianę takiej rzeczywistości jest nie mniejszą zbrodnią od faktu używania siły i przemocy wobec słabszych. Dziś w czasie niepoczytalnych ataków na Polskę i jej rzekome wstecznictwo polityczne i społeczne książka ta jest zimnym prysznicem na rozpalone czerwoną gorączką mózgi. Bardzo dobrze się stało, że ukazało się jej wydanie w języku angielskim. Bertrand Russell w przedmowie do wydania angielskiego pisze: „Pośród tekstów, zamieszczonych w tej książce znajdzie czytelnik wyjątki z pism autorów, odzwierciedlających zasady demokratyczne i socjalistyczne równie stanowczo i równie wymownie, jak najlepsi pisarze Zachodu...“ — a dalej „...czytelnicy tej książki zauważą uderzające podobieństwo celów, ku którym dążą postępowi Polacy oraz postępowi działacze Demokracji Zachodnich“.

Książka ta niewątpliwie oddaje najlepsze usługi sprawie polskiej na obczyźnie, dając wszelkie podstawy, aby „wierzyć, że większość narodu polskiego pozostała zawsze wierna zasadom demokracji“, choćby nie wiem jakie padły oskarżenia z „tamtej strony“.

Książka ta powinna stać się przewodnikiem dla tych wszystkich, którzy chcą dotrzeć pośród fałszu i demagogii do niczym niesfałszowanej rzeczywistości społecznej i politycznej Polski w latach ubiegłych i Polski dni dzisiejszych, jako całości, a więc tych, co w Kraju milczeć teraz muszą i tych, którzy poza Jej granicami korzystają z wolności słowa.

Należy się wdzięczność Autorom i Wydawcom za to ciekawe i piękne wydawnictwo, wdzięczność przynajmniej tych, którzy czują naprawdę po polsku i myślą kategoriami demokracji, która każdemu człowiekowi przynosi pełną wolność.

Arystydes Jastrzębiec

JAN KARSKI. *Story of a secret State.* Henghton & Mifflin Co, Boston 1944, str. 391.

Karski jest drugim polskim autorem zaszczytnie wyróżnionym w Stanach Zjednoczonych przez „Klub najlepszej książki miesiąca“. Pierwszym była Kossak-Szczucka za powieść „Bez oręża“. Powieściowych walorów książka Karskiego nie posiada, jest to raczej reportaż, skrót historii polskiego „underground'u“, z umiejętnie wplecioną osobistą „story“ autora. Pomysł włączenia do rozdziałów informacyjnych wątka sensacyjno-awanturniczego jest bardzo szczęśliwy. Dzięki temu całość łatwiej przemawia do czytelnika amerykańskiego, dla którego jest przecież pisana.

Na 391 stronach Karski umieścił dzieje polskiego ruchu oporu, jego powstanie, kontakty zewnętrzne, organizację podziemnego państwa, propagandę, tajną prasę, administrację, wojsko, reprezentację polityczną, szkolnictwo, kierownictwo ruchu oporu cywilnego, ghetto i obóz śmierci. Wszystko podlane sosem w stylu dobrego „thrillera“.

Książka ta wypełniła częściowo luki spowodowane zastojem naszej urzędowej propagandy lub jej słabą celowością. Jest także dowodem, że nie wystarczy wydawanie setek broszur i sprawozdań, białych i czarnych ksiąg ze łzawym patosem obrazujących męczeństwo i cierpienia narodu polskiego. To samo można podać w formie nawet powieści sensacyjnej lub awanturniczej (Solski: Pociąg odchodzi o północy), nie umniejszy to nam chwały, a raczej pomoże w ocenie naszego wysiłku wojennego. Sukces Karskiego i Śledzińskiego za granicą jest dostatecznie jasnym wytknięciem drogi naszej na przyszłość w tej dziedzinie, jeśli chcemy być właściwie poznani i ocenieni.

Zbigniew Małecki

Dr STANISLAS LIBEREK. *Les échanges commerciaux entre la Suisse et la Pologne*, odbitka z „*Informations économiques*“ (Office Suisse d'Expansion commerciale) Lausanne 1945, str. 42.

Polsko-szwajcarskie stosunki gospodarcze nie posiadają bogatej literatury. Jeśli nie mylimy się, nie istnieje w tym zakresie żadne wydawnictwo monograficzne w języku polskim. Z prac w językach obcych ukazały się w latach 1930—1940: 1) A. Bolland, „Ueber die schweizerisch-polnischen wirtschaftlichen Beziehungen“, St. Gallen, 1930; 2) R. Górecki, „Le développement économique de la Pologne et les relations économiques polono-suisses“, Bèrne, 1930; 3) J. Szeliski, „Les relations commerciales entre la Pologne et la Suisse“, Warszawa, 1933; 4) J. Kühl, „Die polnisch-schweizerischen Handelsbeziehungen im Rahmen der gesamten Handelspolitik Polens“, dysertacja berneńska, Bern, 1940.

Broszura St. Liberka, „Les échanges commerciaux entre la Suisse et la Pologne“, jest piątą w tym cyklu, nie wnosi jednak nowych momentów w porównaniu z poprzedzającą ją i najpełniej ujętą pracą dr J. Kühla. W szczupłych ramach 42 stron autor nie był zresztą w możności pogłębić tematu. Musiał on ograniczyć się do bardzo szkicowego rysu stosunków ekonomicznych polsko-szwajcarskich, kilku uwag charakteryzujących warunki naturalne i udział

obu krajów w handlu międzynarodowym oraz do podobnie krótkiej analizy głównych towarów polsko-szwajcarskiej wymiany handlowej w latach 1935—1939. Cytując cyfry obrotów towarowych w ich podstawowych trzech grupach (środki spożywcze, surowce, fabrykaty), autor zmierza do przypomnienia w tej drodze kupcom i przemysłowcom szwajcarskim możliwości handlu z Polską w stosunkach powojennych. Taki jest cel pracy i z tego punktu widzenia jest ona na szwajcarskim rynku wydawniczym zjawiskiem niewątpliwie pożytecznym.

W momencie pisania pracy autor nie mógł przewidzieć rozwoju wydarzeń na Wschodzie Europy, które poważnie podważyły, jeśli nie przekreśliły, postulowaną odbudowę kadr indywidualnych eksporterów i importerów, jako motoru obustronnej ekspansji handlowej. Nie mógł on przewidzieć również, że szereg dalekosiężnych eksperymentów społeczno-gospodarczych, obok zniszczeń wojennych i wywiezienia wielu środków produkcyjnych do Rosji, umniejszą zdolność eksportową gospodarstwa polskiego, z tym skutkiem, że dziś wyłącznym niemal towarem polskim w kompensacie handlowej ze Szwajcarią jest węgiel kamienny. Nie sprawdziły się przewidywania autora co do zasadniczych tendencyj zmian w powojennej wymianie międzynarodowej, jak również co do konkurencji towarów anglo-saskich z towarami szwajcarskimi na rynku polskim. Sprawy potoczyły się niestety innym torem. Nie mniej pozostaje na pewno słuszną teza podstawowa, mocno podkreślona w pracy dr Liberka, że Polska i Szwajcaria są krajami uzupełniającymi się przez przeciwstawność swych struktur gospodarczych i że oba kraje — w warunkach normalnych — mają duże możliwości rozszerzenia swych obrotów handlowych.

Liczne czynniki — niech mi wolno będzie stwierdzić na marginesie tej recenzji — warunkują rozwój wymiany gospodarczej między dwoma krajami. Przede wszystkim muszą istnieć: 1) atmosfera pokoju i ogólnie korzystne warunki polityczno-gospodarcze; 2) obustronna wola współpracy gospodarczej; 3) postępująca produkcja towarów do wymiany; 4) tanie środki komunikacyjne; 5) funkcjonowanie systemu kredytowego. Abstrahując od sytuacji ogólno-politycznej i przejściowego — miejmy nadzieję — braku towarów w Polsce, w stosunkach gospodarczych polsko-szwajcarskich problemy komunikacyjne i kredytowe odgrywają niesłychanie poważną rolę. Te problemy nie doczekały się jeszcze pogłębionego studium w żadnej z dotychczasowych prac, operujących zazwyczaj analizą suchych zestawień statystyki towarowej. Nadzieje dr St. Liberka pokładane w komunikacji wodnej (via Ren) i w powojennym rozwoju transportów powietrznych między Polską i Szwajcarią wydają się być zbyt optymistycznym ujęciem problematu.

Słuszne jest końcowe stwierdzenie autora, że wymiana handlowa polsko-szwajcarska nie powinna być traktowana na przyszłość według formuły „towar za towar", lecz rozwiązana w całokształcie bilansu płatniczego obu krajów. Jest to właśnie zagadnienie organizacji systemu kredytowego, któremu — w sytuacji obecnej — nowa polsko-szwajcarska umowa handlowa z dnia 4 marca 1946 zakreśliła tylko niewielkie ramy.

Dr Janusz Rakowski

MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI, JÓZEF CZAPSKI, JAN ULATOWSKI. *Nasz przyjaciel i towarzysz broni.* Druk. Pol. 2. Korpusu A. P., Roma 1945. Str. 60.

Pod tym tytułem zbiorowym ukazała się garść wspomnień o śp. Adolfie Bocheńskim. Obejmuje ona w zasadzie ostatni okres życia Bocheńskiego — jego służbę wojskową w czasie ostatniej wojny, okres w którym okazał się równie świetnym żołnierzem i dowódcą, jak pisarzem, publicystą i politykiem. Wspomnienie Pruszyńskiego jest najbardziej osobiste i trzyma się najbardziej zakreślonych ram okresu wojennego. Czapski wspomina, w bardzo jednak zwięzły sposób, również i okres przedwojennej działalności Bocheńskiego, a zarówno Czapski, jak i Ulatowski dają nam charakterystykę człowieka. W pierwszym pokoleniu Polski Odrodzonej — w pokoleniu zrodzonym jeszcze w niewoli, ale wychowanym już w wolnej Polsce — Adolf Bocheński zajmował jedno z czołowych miejsc. Należał niewątpliwie do najwybitniejszych publicystów politycznych, do najwspanialszych inteligencyj tego pokolenia, To też mimo młodego wieku — miał zaledwie trzydzieści lat w chwili wybuchu wojny — zdobył już ustaloną pozycję w polskiej kulturze i we współczesnej polskiej myśli politycznej. Organizacyjnie związany z Myślą Mocarstwową — prawym skrzydłem młodych piłsudczyków — czołowy publicysta Buntu Młodych i Polityki, był konserwatystą. Ale jego konserwatyzm daleki był od obrony społecznego zacofania, zdumiewał nieraz największych postępowców swymi koncepcjami, ba prześcigał ich nawet! Konserwatyzm jego przejawiał się natomiast w głębokim, namiętnym wprost umiłowaniu tradycji polskiej, w fanatycznej wierze w koncepcję Polskiej Rzeczypospolitej Narodów, w kontynuację polskiej tradycji państwowej sprzed rozbiorów przez stworzenie państwa federacyjnego, w przyszłość idei współpracy polsko-ukraińskiej. W roku 1937 opublikował niedużą, ale znakomitą rozprawę pt. Między Niemcami a Rosją, w której okazał się wyjątkowo przewidującym jeśli chodzi o niebezpieczeństwo grożące nam od wschodu.

Kiedy 18 lipca 1944 roku komunikat PAT'a podał krótką, tragiczną wiadomość, że w bitwie o Ankonę zginął ppor. Adolf Bocheński, ogarnął mnie nie żal, ale wściekłość. Wściekłość na ten widomy znak naszej fatalnej gospodarki materiałem ludzkim, która rzuciła w ogień bitew na stanowisko dowódcy plutonu najwybitniejszą inteligencję i najwspanialszy umysł młodego pokolenia polskiego. Dziś wiem, że Adolf Bocheński szukał śmierci. Szukał takiej śmierci. „Z tej wojny nie wypada wracać" powiedział do Jana Ulatowskiego. Albowiem uważał, iż nadeszła chwila kiedy warstwie, do której należał — warstwie polskiego rycerstwa — nie pozostało nic innego, jak zginąć za Polskę. To też licznie i ochoczo ginęli oni w tej ostatniej rycerskiej potrzebie od Września poprzez obozy koncentracyjne niemieckie i rosyjskie obozy zesłania, poprzez pola Francji, fiordy Norwegii, fale mórz i wody oceanów, obłoki podniebne nad Wielką Brytanią i Niemcami, piaski Afryki i znów pola Francji, Belgii, Holandii. I Adolf Maria Bocheński, Kawaler Maltański, Kawaler Virtuti Militari i trzykrotnego Krzyża Walecznych znalazł śmierć taką, jakiej szukał. Piękną, rycerską śmierć...

Ci wszyscy — jakże dziś liczni — którzy uniesieni społeczną nienawiścią lub z oportunizmu wypierają się jakiejkolwiek z tą warstwą wspólnoty, odżegnują się nie tylko od złego, ale i od dobrego po niej dziedzictwa, niech wezmą do ręki tę książeczkę i niech zastanowią się nad życiem i śmiercią Adolfa Bocheńskiego, ostatniego rycerza Rzeczypospolitej.

Aleksander Korczyński

W. SASKI: *Rodzina Pasków,* fragmenty powieści, F. Mildner & Sons, London 1946, str. 140.

W zasadzie notatnik bibliograficzny poświęcony jest omówieniom pozycyj literackich czy naukowych o pewnej ustalonej wartości, pewnym poziomie. Musimy jednak zwrócić uwagę na jedno niepokojące zjawisko. Faktem jest, że w naszej współczesnej literaturze tematyka utworów obraca się wyłącznie prawie wokół minionej wojny. Balast niedawnych przeżyć zaważył wyraźnie na całym piśmiennictwie. Odczuwamy poważny brak twórczości o temacie „pokojowym". Objaw zresztą normalny, bo literatura nie jest w stanie życia wyprzedzić, ani iść w parze, jest jego refleksem. Nie oznacza to jednak, że każda praca „niewojenna" musi bezwarunkowo lukę tę zapełnić. „Rodzina Pasków" jest próbą w tym kierunku, i próbą nieudaną.

Fragmenty tej powieści, słabej i konstrukcyjnie i treściowo, autor poprzedza wstępem, będącym swego rodzaju wyjaśnieniem, w którym daje on genezę swej twórczości literackiej. Dowiadujemy się z niego, że „Rodzina Pasków" była utworem zakrojonym na „epopeję Polski między obu wojnami", a zarazem pierwszym i prawdopodobnie ostatnim dziełem autora. Z zamierzonej epopei został wątły cień, łabędzia pieśń bardzo zaś przypomina gęganie rodzimych gęsi. Można podziwiać autora za jego cierpliwość i pracowitość, nie są to jednak kryteria literackie. Utwór jest słaby pod każdym względem.

Jeden z recenzentów, tęskniący widocznie do przedwojennych wygód, powitał ukazanie się tej powieści okrzykiem „nareszcie mamy powieść niewojenną", szerzej rozwodząc się nad jej miłym, sielsko-domowym klimatem. Rzecz gustu. Kiepski opis dobrego obiadu nie nasyci głodnego, pozostanie zawsze opisem, i to kiepskim. *Zbigniew Małecki*

FRANCK-LOUIS SCHOELL: *Patrimoine polonais.* (Tome) 1: Etudes littéraires. Collection „Culture européenne", (Série) Pologne No 1, Lausanne, Editions La Concorde, 1944, Str. 231 + 3 nlb.

Literatura polska obfitująca w dzieła pierwszorzędnej wartości, nie zdobyła sobie jeszcze należytego stanowiska w zagranicznych kołach intelektualnych, zwłaszcza na Zachodzie. Wynika to z różnych przyczyn m. in. z faktu, że język polski nie jest międzynarodowym. Wobec takiego stanu rzeczy potrzeba Polsce za granicą opiekunów, którzyby mogli wystąpić w obronie jej praw, skoro głos Polski sam nie wystarcza. W rzędzie takich opiekunów wymienić należy jako jednego z najbardziej zasłużonych F r a n c k - L o u i s S c h o e l l'a, Alzatczyka z pochodzenia, przez czas jakiś profesora na jednym z Uniwersytetów w Kalifornii, a następnie członka Sekretariatu Ligi Narodów w Genewie.

Po raz pierwszy dał on się poznać przez dokonanie tłumaczenia *Chłopów* R e y m o n t a na język francuski; zasługa niemała zważywszy trudności takiego przedsięwzięcia. Nie dziwimy się też, że tłumaczenie to zostało odznaczone nagrodą Akademii francuskiej. Po tej pierwszej publikacji nastąpiły dalsze, nie tylko tłumaczenia innych autorów: E j s m o n d a, C h o r o m a ń s k i e g o, S z y m a ń s k i e g o, T e t m a j e r a, lecz również prace krytyczne, naprzód studium o *Chłopach*, stanowiące niejako komentarz do dokonanego tłumaczenia, potem szereg artykułów opracowanych dla czasopism francuskich, dla Encyklopedii francuskiej itd., w końcu książka p. t. *Patrimoine polonais*, która ukazała się w czasie wojny w Lozannie. Książką tą zainicjował Prof. Schoell serię polską w ramach zbioru „Culture européenne", serię obejmującą już kilka

tomów innych autorów. Sam inicjator zapowiedział drugą część swego *Patrimoine*, która ma objąć twórczość najnowszych autorów polskich z okresu międzywojennego.

Schoell we wstępie do swojej książki przedstawił nam w sposob nader ujmujący swój stosunek do Polski i historię zainteresowania się jego tym krajem od lat szkolnych. Na genezę *Patrimoine* rzuca też pewne światło, nie mniej sympatyczne, dedykacja w języku polskim żonie autora Oldze z Gulkowskich.

Książka zawiera artykuły krytyczne poprzednio przez Prof. Schoella opublikowane oraz niektóre później napisane. Dotyczą one najwybitniejszych poetów i pisarzy polskich, począwszy od Kochanowskiego. W galerii przedstawionych postaci znajdujemy Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, Weyssenhoffa, Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkową, Szymańskiego i Sieroszewskiego. W ramach swych artykułów umieścił autor także portrety Marszałka Piłsudskiego, Chopina, nie zapomniał wielkich historyków kultury polskiej. Książka składa się z essayów poświęconych nie całokształtowi twórczości wspomnianych osób, lecz niektórym utworom, nieraz jednemu dziełu tylko. Często omawia autor w artykule jeden istotny problem w sposób niezmiernie jasny, trafiający do przekonania czytelników, których przez takie ujęcie przedmiotu zaciekawia i poucza zarazem. Pragnie jako Francuz — jak wynika z przedmowy — zapoznać swych rodaków z niektórymi przynajmniej przejawami literatury polskiej, wiedząc że łatwiej w ten sposób ich przekona o jej pięknościach, niż gdyby książkę tę napisał autor polski. Słowackiego i jego genewski epizod miłosny z Eglantyną poznajemy na podstawie *Listów do Matki*. Artykuł o Krasińskim omawia jego sympatię dla Muzy malarskiej zapomnianego dzisiaj artysty Ary Scheffera, a konstatując to wyprowadza Schoell odpowiednie wnioski. Z Weyssenhoffem zawieremy znajomość dzięki jego pamiętnikom i opisanemu w nich epizodowi polowania, w którym pisarz ten wziął udział jako gość jednego z magnatów węgierskich. Charakterystyczny jest rozdział poświęcony Sienkiewiczowi, w którym Schoell omawia przyczyny niedocenienia jego talentu na terenie Francji i daje mu pełne zadośćuczynienie z tego powodu. Znamiennym dla tłumacza *Chłopów* jest jego zainteresowanie innymi utworami literatury polskiej, dotyczącymi tego samego środowiska, mianowicie *Placówką* Prusa i *Chamem* oraz *Dziurdziami* Orzeszkowej. Sieroszewskiego i Szymańskiego przedstawił na tle śnieżnego krajobrazu Syberii, a z Marszałkiem Piłsudskim zapoznaje czytelnika, przytaczając szereg wymownych ustępów z jego książki *Bibuła*.

Dwa ostatnie rozdziały wychodzą poza ramy historii literatury i poświęcone są Prof. T. Zielińskiemu jako historykowi kultury klasycznej i St. Komornickiemu, St. Kotowi i Al. Brücknerowi jako historykom kultury polskiej. W ten sposób czytelnik otrzymuje, jeżeli nie całkowity, co nie było zamiarem autora, to w każdym razie bardzo rozległy obraz intelektualnego życia polskiego w ostatnich kilkudziesięciu latach. Jak bardzo Schoell wniknął w środowisko polskie, dowodzi fakt że z sądami jego w przeważnej części zgodzić się musimy, bo autor ten myśli i pisze jak Polak. Niekiedy tylko odbiega on od ustalonych poglądów, kiedy np. twierdzi, że nowele Sienkiewicza są w Polsce przeceniane, zwłaszcza *Latarnik*, któremu odmawia większej wartości, lub gdy wyraża się z pewnym lekceważeniem o filozoficznych wzlotach poezji i estetycznych teoriach Krasińskiego. Znajdziemy też pewne nieścisłości i usterki z punktu widzenia historyczno-literackiego, lecz są to szczegóły, które nie zmieniają faktu, że książka Schoella jest znakomitą próbą przerzucenia mostu między nieświadomioną należycie w sprawach polskich opinią publiczną za granicą, a Polską artystyczną i intelektualną, że jest ona wyrazem szczerej sympatii dla naszego kraju ze strony wysoce wykształconego i kompetentnego autora, sympatii która udziela się też czytelnikowi. Czy nie zachęci go np. do bliższego zainteresowania się literackim wiekowym dorobkiem Polski wyznanie Prof. Schoella uczynione przy końcu wstępu do swojej książki: że jest „au moins un Français qui, à puiser librement dans ce patrimoine depuis plus de trente ans, a le sentiment de s'être singulièrement enrichi"?

Dr Alfons Bronarski

HENRYK SIENKIEWICZ: *Legiony*, Instytut Literacki, Rzym 1946, str. 183.

Dobrze się stało, że powstały niedawno w Rzymie Instytut Literacki rozpoczął swą działalność edycją *Legionów* (powitać także należy reedycję *Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego*; dziwi jednak wydanie *Dziennika podróży po Austrii* jako wyraz pewnego obniżenia linii wydawniczej. Tymbardziej, w porównaniu z następną pozycją: *Kobiety* Kuszelewskiej), tak dziwnie znów aktualnych.

„Legiony" są ostatnim dziełem Sienkiewicza, niedokończonym i słabszym artystycznie od „Trylogii" i „Quo-Vadis". Być może osąd ten wypływa właśnie z faktu niedokończenia utworu. Sądząc bowiem z zainteresowań epoką i umiłowania epopei legionowej, „rzecz" skrojona była na większą miarę.

Dużo się można podobieństw doszukać w „Legionach" z czasami obecnymi. Te kapitalnie nakreślone postacie „realistów" są nam b. bliskie (jeśli chodzi o epokę) i znane. Sympatyczny kollaboracjonista ks. biskup warmiński, mikołajczykowski szambelan Kwiatkowski, który (nic się w tej mierze nie zmieniło) pociesza się, że „stało się nieszczęście, ale się stało i na to nie ma rady. Dziś trzeba myśleć o czym innym... trzeba ratować kapitalne pryncypia"... A dalej mówi już zwykły karierowicz, sam siebie rozgrzeszając: ...„Nie tylko własna korzyść nakazuje trzymać się dziś dworskiej klamki, ale i patriotyczny obowiązek... I należy się z tym spieszyć, póki nas chcą, bo mogą nadejść takie czasy, że nas nie zechcą..." To brzmi już jak wyjęte z artykułu Pruszyńskiego. „Dąbrowski formuje legiony. Na co? dlaczego? przeciw komu? I chodzi im niby o Ojczyznę... Ale Polska leży w Polsce, nie we Włoszech, ani w Paryżu... Ojczyzna? Owszem! Nam też o nią chodziło... nie chcieliśmy się jednak porywać z motyką na słońce..."

Lecz nie wszyscy są tego zdania. Starzy i młodzi bez różnicy stanów, podobnie jak dzisiaj dążący poprzez Europę pod sztandary nie znają tych wahań. „...Choćby Kościuszko zawołał pod Maciejowicami „finis Poloniae", to by jeszcze można zrozumieć, jako chwilową rozpacz... ale co jest okropne, przerażające, to to, że te same słowa powtarzają dziś po cichu ludzie w Warszawie, w Poznaniu, we Lwowie i w Wilnie, że uwierzyli. iż tak być musi... że zżyli się z tą myślą, że inaczej myśleć nie są zdolni i że niczego już nie pragną... Intrat, folwarków, spokoju, ciszy, zapomnienia, snu, niczego więcej... Ciężko nam było przeżyć Polskę, ale skoro już jej nie ma, to musimy tak postępować, by nam było jak najlepiej... Ot w czym jest finis Poloniae. Życie się toczy, a Polski nie ma..."

Proroczo brzmią słowa Bogusławskiego, postaci niemal posągowej i tragicznej „...gdy zginiecie wy obaj, gdy zginę ja, gdy zginą nas setki i tysiące, przyjdą po nas inni i polska siła się ostoi i legia nas przeżyje. Po świecie mówią: nie masz już Polski! A Polska tu jest. Nie było wojska polskiego, a ono tu jest. I może Bóg da, że nie dziś to jutro, bagnet nasz przewierci przez Austrię drogę do ojczyzny..."

I ta właśnie wiara sprawia, że „Legiony" są adresowane do nas, są książką na codzień, jak biblia.

Zbigniew Małecki

SEWERYNA SZMAGLEWSKA: *Dymy nad Birkenau*, Spół. Wyd. „Czytelnik", Kraków 1945, str. 302.

Birkenau to obóz, który „nie istniał", formalnie bowiem zatajono jego obecność, w rzeczywistości zaś był on pododdziałem Oświęcimia. Relacja Szmaglewskiej jest wstrząsająca w swym realiźmie. Autorka nie sili się nawet na literackie ujęcie ogólnego obrazu, wszelka bowiem „literackość" nie ma najmniejszej racji bytu wobec faktu istnienia czegoś tak potwornego. Mając możność przeżyć prawie pięć lat w obozie śmierci, autorka przechodzi przez wszystkie szczeble wegetacji (bo nie można tego nazwać życiem) obozowej. Z pewnym wysiłkiem uświadamiamy sobie fakt, że życie ludzkie po prostu nie liczy się, nie istnieje. Jest tylko pewna ilość numerów, tłum, szary, pasiasty, bezbronny tłum więźniów, którzy popełnili jedno tylko przestępstwo: urodzili się Polakami.

Całkowite zatracenie indywidualności Szmaglewska świadomie podkreśla: w ciągle używanych formach nieosobowych, jak np. „szło się", „pracowało się" itp. odzwierciadla się fakt pozbawienia osobowości. Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem dotąd niespotykanym w dziejach ludzkości, z odwróceniem całego procesu biologicznego, odwróceniem drogi gatunku — od człowieka do zwierzęcia. Więzień pozbawiony literalnie wszystkiego, nawet samego siebie, swej osobowości, zmuszany jest do pracy, od której śmierć jest uwolnieniem; powolne konanie z wyczerpania. Innych „likwiduje się" szybciej i nowocześniej — w krematorium. Dym pieców Birkenau przesłania świat więźnia, otula go mgłą swądu ludzkiego ciała i zobojętnienia na wszystko, i na śmierć.

Czy człowieka, który przeżył to wszystko stać jest na luksus przebaczenia, lub tylko zapomnienia? Autorka bez wahania daje odpowiedź negatywną. Morcinek po piekle Dachau potrafi w słowach modlitwy: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom" odnaleźć siłę na przebaczenie i drogę do moralnego odrodzenia człowieka. Jest ona wyrazem jego wewnętrznego skupienia i chrześcijańskiego światopoglądu. Ludzie, którzy przeżyli Birkenau i Oświęcim przebaczyć nie mogą i nie potrafią. Nie potępiamy ich, notujemy jedynie fakt. Są zbrodnie, za które nie ma kary, za które nie ma przebaczenia, ani zapomnienia. Prochy spalonych ofiar rozwiane po polach użyźnią glebę, na której wzrośnie krwawe zboże, i długo jeszcze zaczyn chleba będzie miał słony smak niewinnie przelanej krwi.

Zbigniew Małecki

W tomie IX Pamiętnika Literackiego ukażą się m. in.:

Karolina Lanckorońska: **Wspomnienia z Ravensbrück**
Zygmunt Nagórski jr: **Londyńskie lata.**

VOGT-SCHILD A.G., SOLOTHURN

VOGT-SCHILD A.G., SOLOTHURN